ROK I Nr. 13. 21 kwietnia 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Rejentalnie stwierdzony nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Dziewica Orleańska wzywa naród francuski do walki z najeźdźcą (z filmu „Joanna d'Arc" z Susanne Genevois w roli tytułowej — fot. „Starfilm", — (do artykułu na str. 3-ej)

Vive la Pologne, Messieurs!



Jak sobie przeciętny paryżanin wyobrażał ongi Warszawę. (Rys. Koźmińskiego)

Kiedy na kilka lat przed wojną przybyłem na czas dłuższy do Paryża, zdarzyło mi się niejednokrotnie, że Francuzi, z którymi zawierałem znajomość, witali mnie uprzejmie:

— *Charmé... Pan jest Polakiem? A więc pan jest izraelitą?....*

Zdziwiony tem do najwyższego stopnia, tembardziej, że rysy mej twarzy niczem nie przypominają typu semickiego, postanowiłem bliżej zbadać źródło tego nieporozumienia, przyczem odkryłem, że swoje rodzime „Nalewki", siedlisko ghetta, chrzci paryżanin mianem „*La Petite Pologne*", zaś antysemickim terminem obelżywym jest w Paryżu wyrażenie „*sale Pollack*".

Cóż dziwić się przeciętnemu Francuzowi, który słynie ze swej odrazy do nauki geografji i historji, jeśli na kilka tygodni przed pamiętnym sierpniem 1914 r. w paryskim „*Matin'ie*" notatka o schwytaniu w Nicei jakiegoś międzynarodowego włamywacza kończyła się pełnem lekkomyślnej stanowczości twierdzeniem, że włamywacz ten musi być Polakiem, skoro nazywa się... Mojżesz Boother (sic!).

Inni Francuzi (większość!) brali mnie dla odmiany za moskala, a gdy i ich wyprowadziłem z błędu, wysłuchiwali grzecznie mych wywodów historycznych, poczem, kiwając głową i mrużąc filuternie prawe lub lewe oko, kończyli rozmowę wnioskiem, że jednak Polak jest młodszym bratem moskala, z którym kłóci się całkiem niepotrzebnie... Jeszcze przed paroma miesiącami jeden z dzienników warszawskich podał jako „curiosum" reprodukcje listu francuskiego, wysłanego pod adresem: „*Varsovie — Russie*"...

Wielka wojna wpłynęła znacznie na zmianę tych pojęć we Francji — a jednym z pierwszych taranów, które wówczas bić w nie poczeły, stała się „Pologne et la Guerre", wydawana przez d-ra Bolesława Motza i. p. Kozakiewicza, ze swem znamiennem hasłem, powtarzanem pod każdym nagłówkiem:

NIE ROSJANIE,
NIE NIEMCY,
NIE AUSTRJACY —
TYLKO POLACY!

Tymczasem wypadki wojenne tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, wysuwały sprawę polską na plan pierwszy. Coraz głośniej, coraz śmielej brzmiał okrzyk: *Vive la Pologne, Messieurs!*", rzucony kiedyś przez Floqueta w twarz cara Aleksandra II podczas jego pobytu w Paryżu...

Niestety! nawet w tak stanowczej chwili Polska nie umiała w osobie swych działaczy zagranicznych zdobyć się na jednomyślność, na sformowanie jednolitego frontu propagandy. Ileż najlepiej pomyślanych i przygotowanych poczynań zostało spaczone lub wręcz uniemożliwione przez zaciekłość zwalczających się obozów! Zaślepienie doprowadzało do tak potwornych faktów, jak np. incydent lozański z wiosny 1916-go roku, kiedy to na podstawie „donosu" jednego z „rodaków" miejscowych, prasa wodeńska, a za nią i francuska, oskarżyły pewnego działacza polskiego, bawiącego chwilowo w Szwajcarji, o założenie publicznego protestu przeciw owacji na cześć Belgji, która miała miejsce na jednym ze zjazdów politycznych w Lozannie. Rzecz zaś miała się odwrotnie, gdyż, jak to stwierdzały zresztą stenogramy zjazdowe, owację tę urządzono właśnie na wniosek owego spotwarzonego działacza...

Fakty podobne nie były, niestety, odosobnione. Jeszcze w tragicznym roku 1920-ym, kiedy czerwone hordy bolszewickie podchodziły do bram Warszawy, nie brakło ani w stolicy, ani zagranicą polityków, którzy ten przełomowy okres naszej Niepodległości uznali za najdogodniejszy do załatwiania porachunków partyjnych i rzucania najstraszliwszych oskarżeń na obóz przeciwny, aż doczekali się wreszcie zasłużonego potępienia w broszurze pewnego uczciwego i bezstronnego publicysty francuskiego.

A działo się to wtedy, gdy propaganda zagraniczna państw wrogich Polsce doprowadziła do takich pożałowania godnych wypadków, jak np. stanowisko zawodowego (bezpartyjnego!) związku kolejarzy szwajcarskich, który zatrzymał idący transytem przez Szwajcarję do Polski transport lekarstw i środków opatrunkowych, uważając go za ...kontrabandę wojenną!

Zdawałoby się, że przypominanie tych smutnych wydarzeń dziś jest już nie na miejscu. Czy jednak naprawdę przejrzeliśmy już na tyle, by zdać sobie wpełni sprawę z olbrzymiego znaczenia propagandy zagranicznej, czy znamy jej wszystkie drogi i środki?

Rzecz prosta, że nie można żądać od młodego państwa naszego, aby tworzyło tak olbrzymie i kosztowne instytucje propagandowe, jak czyni to Anglja, Francja, przedewszystkiem zaś Niemcy i Sowiety. Lecz propaganda urzędowa, jak niejednokrotnie i w niejednem państwie stwierdzono, nie wyczerpuje tych wszystkich licznych możliwości, jakie przed propagandą zagraniczną stoją otworem. Spójrzmy, jak dzieje się w innych krajach, gdzie każdy obywatel wyjeżdżający zagranicę prawie zawsze staje się automatycznie niehonorowanym, (a więc tem więcej honorowym!) przedstawicielem, obrońcą i propagatorem idei mocarstwowych, kulturalnych, społecznych i gospodarczych swej ojczyzny. Przyjrzyjmy się zachowaniu Anglika, Amerykanina, Francuza, lub Niemca w naszym kraju — posłuchajmy, z jaką dumą, przechodzącą nawet czasami w zarozumiałość, szczycą się i przechwalają tem wszystkiem, co w ich krajach jest godne pochwały — a jak stają okoniem na najmniejsze słowo krytyki w ustach cudzoziemca.

A my? Jeździmy zagranicę rzadko — i... dzięki Bogu! Bo na podstawie licznych obserwacyj, śmiało rzec można, że większość Polaków, opuszczając granice swego kraju, prowadzi — bezwiednie, rzecz prosta — propagandę na niekorzyść Polski, rozpoczynając ją już przy pierwszem piwie w pogranicznym czeskim lub niemieckim bufecie stacyjnym („Wyśmienite! ani się umywa do naszego!"), a kończąc na zazwyczaj pod złym adresem skierowanych wylewach staropolskiej szczerości, nie zostawiającej suchej nitki na wszystkiem, co polskie...



Zwycięska ekipa polska, która na zeszłorocznych Międzynarodowych zawodach Hippicznych w Nicei zdobyła po raz drugi z rzędu nagrodę „Puhar Narodów". Jeżeli dzielnym jeźdźcom naszym poszczęści się i podczas zawodów tegorocznych, nagroda ta przejdzie ostatecznie na własność Polski. Na fot. od strony lewej: rtm. Dziadulski, mjr. Dobrzański, pplk. K. Rómmel, rtm. Królikiewicz i por. Szosland. (Fot. Narcyz Pelczyński)

„*Taisez, vous, mefiez vous, les oreilles ennemies vous ecoutent*" takie pouczenia wieszali podczas wojny Francuzi na ścianach lokalów publicznych. „Milczcie, wystrzegajcie się, słuchają was uszy nieprzyjaciół". Warto by słowa te powtórzyć każdemu Polakowi, udającemu się zagranicę...

Lecz, na szczęście, propagandę zagraniczną możemy robić, siedząc w kraju i dostarczając jej organom argumentów w postaci wymownych danych statystycznych o rozwoju naszej pracy we wszystkich dziedzinach.

Jan Piotrowski.

Joanna d'Arc

Jakby w odpowiedzi na ogłoszony przez amerykańskie biura filmowe bojkot rynku francuskiego, dochodzą nas z ojczyzny braci Lumière wieści o nadzwyczajnych sukcesach nowego filmu produkcji francuskiej ze „złotej serji" filmów narodowych, p. t. „Cudowny żywot Joanny d'Arc".

Scenarjusz wytrawnego pióra J. J. Frappa realizował Marco de Gastyne z pasją młodego artysty i kunsztem zdobywcy słynnej nagrody „Prix de Rome" i złotego medalu „Salonu Artystów Francuskich". Swą karjerę filmową rozpoczął de Gastyne jako twórca wielu arcyciekawych projektów dekoracyjnych do „Sułtanki Miłości", poczem dał się poznać jako śmiały realizator „Kasztelanki z Libanu", ostatnio zaś odtworzył w filmie jedną z sensacyjnych powieści Maurycego Decobra'y.

Rząd francuski, podobnie jak przy realizacji „Cudu wilków" i tym razem pośpieszył z godną naśladowania wydatną pomocą, okazując raz jeszcze, iż zdaje sobie w zupełności sprawę z wielkiego kulturalnego, gospodarczego i propagandowego znaczenia rozwoju rodzimej produkcji filmowej. Oprócz więc wielu cennych ułatwień i prawdopodobnie wysokich subwencyj, oddał na czas dłuższy do dyspozycji de Gastyne'a kilka wyborowych pułków piechoty i oddziałów kawalerji, sprowadzając dzięki temu do minimum rujnujące wydatki na tysiączne rzesze płatnych statystów. Jednocześnie ks. kardynał de Lucon, arcybiskup djecezji w Reims pozwolił na kilkudniową okupację wnętrza słynnej katedry w celu odtworzenia uroczystości koronacyjnej z r. 1429, dzięki czemu i ten epizod z życia Dziewicy mógł otrzymać odpowiednie tło historyczne.

Realizację filmu poprzedziło wyjątkowo sumienne opracowanie najdrobniejszych szczegółów. De Gastyne przebył ponad 6.000 kilometrów w samochodzie, zwiedzając wszystkie malownicze zakątki Francji, wsławione czynami Joanny. Najbogatsze muzea i zbiory prywatne stanęły otworem przed twórcami tego potężnego arcydzieła filmowego, dostarczając autentycznych zbroi, oręża i kostjumów dla wykonawców ról głównych, oraz wzorów dla statystów. Jedynie dzięki skupieniu tych wszystkich wysiłków, jedynie w tej atmosferze zrozumienia, solidarności i entuzjazmu mógł powstać film równie potężny, co „Joanna d'Arc".

Lecz bodaj największą zasługą realizatorów „Joanny" jest odkrycie i pozyskanie dla tego filmu tak idealnej odtwórczyni roli głównej jak Simone Genevois.

Znaleźć kilkunastoletnią panienkę, pełną naiwnego uroku i słodyczy dziewczęcej, której twarzyczka odbijałaby w sobie promienny i czysty majestat świętości, będąc jednocześnie zdolną do wyrażenia tych wszystkich bohaterskich uczuć, które miotały sercem Dziewicy Orleańskiej — było zadaniem nielada. Ponieważ poszukiwania w sferach teatralnych nie dały żadnego rezultatu, de Gastyne ogłosił odpowiedni konkurs, na który zgłosiło swe kandydatury ponad 1000 dziewcząt francuskich. Wybrano z nich Simonę, a że wybór ten był trafny przekonać się można, porównując obydwie fotografje, które reprodukujemy w tym numerze „7 Dni". Na fotografji tytułowej mamy przed sobą Joannę, wzywającą lud francuski do boju z najeźdźcą. Cała jest tu jedną wielką, wspaniałą syntezą porywającego bohaterskiego wezwania — aby za chwilę stać się tkliwą samarytanką, niosącą ulgę rannym na krwawem pobojowisku—lub czystą Dzieweczką, już duchem w niebo wstępującą, którą widzimy na załączonej obok fotografji.

„Cudowna historja Joanny d'Arc", najnowsze arcydzieło francuskiej produkcji filmowej, zawita niebawem i do naszego kraju. (p).



Pełna głębokiego tragizmu scena końcowa filmu: Joanna (Simone Genevois) wstępuje na stos. (Fot „Starfilm").



Realizator „Joanny d'Arc", Marco de Gastyne, utalentowany artysta-malarz, bogato uwzględnił w tym filmie pierwiastek malarski, jak to widzimy m. in. na tej fotografji, przedstawiającej trybunał, który skazał na stos Dziewicę z Orleanu.

W przededniu wyścigów konnych



Albert hr. Wielopolski, Prezes Towarzystwa Zachęty do Hodowli koni w Polsce, wybitny sportsman i hodowca, zasłużony działacz na polu hodowli i sportu wyścigowego.



Faust, og. gn. 3 l., niezwyciężony w dwuletnim wieku, wł. p. B. Szwejcera, trener Zasępa, pod żokiejem K. Jagodzińskim, zimowy faworyt na Derby. (Fot. Pełczyński)

W zrozumieniu wielkiego znaczenia hodowli koni w Polsce, z numerem niniejszym „7 DNI" wprowadzamy dział artykułów sportowo - hodowlanych, które bezwątpienia zainteresują szerokie sfery naszych Czytelników.

Kierownictwo tego działu powierzyliśmy panu Józefowi Szemplińskiemu, jednemu z najwybitniejszych w Polsce znawców tego przedmiotu. P. Szempliński, długoletni współpracownik fachowego „Jeźdźcy i Hodowcy", jest cenionym autorem wielu wybornych i ciekawych prac z dziedziny hodowli koni i sportu wyścigowego.

W szybkiem jak życie, wyścigowem zaiste tempie mija czas. Martwy sezon zimowy ma się już ku końcowi, gdyż w dniu 28-go b. m. otwierają się gościnne podwoje toru mokotowskiego w Warszawie.

Znajomą drogą przez ulicę Śniadeckich, lub Nowowiejską udamy się tam wkrótce, z nadzieją lepszej przyszłości (z wiosną nadzieje rosną), by własną, lub pożyczoną gotówką poprzeć teoretyczne dotąd zapatrywania na wartość przyszłego materjału stadnego. Materjał ten tymczasem będzie się selekcjonować u celownika na torze, a my odsetki od wniesionych za bramę wyścigową sum będziemy składać w kasach totalizatora, jako dobrowolny podatek dla rozwoju rodzimej hodowli. Żywioły mniej uświadomione, którym dobrobyt rozwoju tej gałęzi bogactwa narodowego mniej leży na sercu, pójdą napychać wytęchłe przez zimę kieszenie pozostających jeszcze w początkach sezonu na wolności „bookmacher'ów"...

* * *

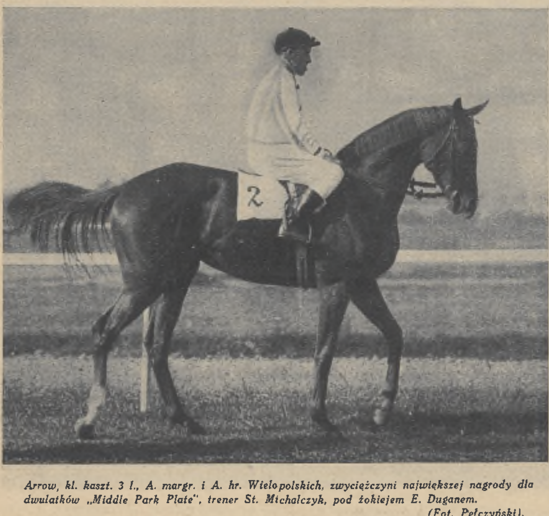
Rok 1929-ty, aczkolwiek poprzedzony bardzo szczęśliwemi rezultatami swego poprzednika, rozpoczął się bolesną stratą dla ogółu naszego świata hodowlanego. Zmarł mąż wielkich zasług na tej niwie, ś. p. Fryderyk Jurjewicz, wskrzesiciel świetnej ongiś polskiej hodowli. Odszedł na wieki pozostawiając szczery żal po sobie nietylko wśród hodowców i sportsmanów, lecz i szerszego społeczeństwa. Ś. p. Fryderyk Jurjewicz, oprócz małżonki, nie pozostawił spadkobierców swego imienia. Pozostali jednak spadkobiercy Jego obywatelskich czynów w osobach Jego najbliższych współpracowników i ulubionych uczniów — obecny Prezes Tow. Zach. do Hod. Koni w Polsce Albert hr. Wielopolski, oraz Naczelnik Wydziału Stadnin Państwowych, a obecnie kierownik Departamentu Chowu Koni w Ministerstwie Rolnictwa, inż. Jan Grabowski, którzy niemało przyczynili się po wojnie do odbudowy hodowli w Odrodzonej Polsce.

Imiona ich są rękojmią, że hodowla nasza prosperować będzie, że wrócą czasy *Mości Księcia, Liry, Łoma*, i że wówczas będziemy mogli wychowanym w kraju materjałem wyścigowym konkurować z najwyższą klasą na pierwszorzędnych torach europejskich.

* * *

Gwarancją rozwoju hodowli koni szlachetnych, jak wykazuje historja turfu na całym świecie, jest rozwój wyścigów konnych, skąd biorą się środki materjalne na nagrody i premje hodowlane dające źródło pokrycia kosztów utrzymania i wychowu cennych produktów. Selekcjonowane w próbach wyścigowych, stanowić mają podstawy przyszłego wysokowartościowego materjału stadnego. I tu zaczynamy dochodzić do kwitnącego stanu, gdyż pomimo ogromnych, a niezbędnych wkładów i inwestycyj jako to: kupno i budowa nowego stołecznego toru w Służewcu, ulepszenia dokonane na filjalnym torze wyścigowym w Łodzi, dobudowa nowych stajen na starym placu mokotowskim — już w roku zeszłym nagrody znacznie podwyższono.

Na rok bieżący program zapowiada znowu znaczną podwyżkę nagród, przyczem wartość nagród pozagrupowych a zwłaszcza klasycznych dochodzi już prawie do norm przedwojennych. Najniższa nagroda 5-ej kategorji wynosić będzie 1.500 zł. dla właściciela zwycięskiego konia, co wraz z dalszemi nagrodami oraz premjami dla hodowców stanowi 2.310 zł. W tym samym stosunku w przybliżeniu wzrosły i wyższe gonitwy grupowe, pozagrupowe zaś jeszcze bardziej, a „Derby" oraz



Arrow, kl. kaszt. 3 l., A. margr. i A. hr. Wielopolskich, zwyciężczyni największej nagrody dla dwulatków „Middle Park Plate", trener St. Michalczyk, pod żokiejem E. Duganem. (Fot. Pełczyński).



Falada, kl. gn. 3 l., A. margr. i A. hr. Wielopolskich, wybitna zeszłoroczna dwulatka, trener St. Michalczyk, pod żokiejem St. Pasternakiem. (Fot. Pełczyński).

„Wielka Warszawska Międzynarodowa Nagroda im. Fr. Jurjewicza" wyposażone zostały sumą 75.000 zł. dla pierwszego konia. Wszystko to wraz z wyżej wymienionemi dalszemi nagrodami, oraz przywiązanemi do tych zaszczytnych gonitw cennemi pamiątkowemi przedmiotami, medalami lub upominkami i premjami hodowlanemi, wyrazi się w sumie około 120.000 zł., co już dla naszych tymczasowych derbistów jest zachętą zupełnie wystarczającą.

* * *

Wobec powyższego, ogólne zainteresowanie się hodowlą i sportem wyścigowym wzrosło niezmiernie. Nie mówiąc już o sumiennej i dzielnej pracy organizacyjnej Departamentu Chowu Koni, który, nie opuszczając rąk, nawet w dawniejszych, cięższych znacznie warunkach sprowadzał w miarę możności także z zagranicy cenne ogiery reproduktory, w ostatnich czasach inicjatywa prywatna zrobiła znaczny krok naprzód w kierunku cennych importów z zagranicy.

Przedewszystkiem zawiązała się Kresowa Spółka Hodowlana pod kierownictwem znanego przed wojną sportsmana i właściciela stajni P. K. Zdziechowskiego. Spółka ta zakupiła nietylko kilka wybitnych matek stadnych w kraju, posyłając je zagranicę do odchowania z pierwszorzędnymi tamtejszymi reproduktorami, lecz ponadto nabyła wiele wysokiej krwi i wartości klaczy francuskich oraz kilka niemieckich, pozostawionych we Francji do odchowania. Wkrótce też ujrzymy na torze dzieci takich czołowych, europejskiej miary reproduktów jak *Tapin, Zerdust. Landgraf, Mc Kinley, Admirał Hawke*, a nawet *Clarissimus i Mon Talisman*.

K. hr. Zamoyski sprowadził z Francji 5 let. og. kaszt. *L'Aretin'a*, syna słynnego *Dominion'a*, a rodzonego brata francuskiego derbisty *Le Correge'a. L'Aretin* w ojczyźnie swej miał dobrą karjerę wyścigową, ma on pokryć kilka matek stadnych w Adampolu i będzie wzięty do treningu, by uczestniczyć w wielkich gonitwach międzynarodowych sezonu jesiennego w stajni K. hr. Zamoyskiego i M. Radwana. Do tejże stajni redaktor M. Radwan nabył we Francji dwuletnią klaczkę pierwszorzędnego pochodzenia *Royal Function*, która pozostała przez zimę w treningu we Francji i w najbliższych dniach ma przyjść do Warszawy, by wziąć udział w wyścigach już w nadchodzącym sezonie wiosennym.

Hodowca Małopolski p. H. Woźniakowski oprócz nabytych w roku zeszłym w Anglji 2-ch matek cennej krwi, w r. b. zakupił na Węgrzech 4 matki, odchowane z Oereg lakiem, *St. Becan'em i Bony*. Oprócz tego nabyte przez tegoż hodowcę do stada Starzawa ogiera stadnego *Oereg lak*, który w ostatnim roku zasłynął na Węgrzech jako reproduktor wskutek zwycięstw swego syna *Alaga*.

P. E. Grzybowski ze Słubic, właściciel znanych starszych ogierów *Forwarda* i *Granata* wydzierżawił w Niemczech jako reproduktora *Ariela*, który w stadzie powinien odegrać wybitną rolę.

Ponadto było jeszcze w r. b. dużo mniej rzucających się w oczy importów, które mogą w hodowli odegrać również niepoślednią rolę.

* * *

Większość stajen wyścigowych zimowała w Warszawie, a o ile tegoroczna zima bardzo sprzyjała robocie przygotowawczej koni do wyścigów, wiosna dla naszych ulubieńców okazała się mniej łaskawą. Od połowy marca stan torów roboczych wyklucza jakąkolwiek więcej intensywną pracę, tak że konie chodzą przeważnie na kółkach około stajen stępa i kłusa. Tak długa przerwa bezwątpienia odbije się ujemnie na kondycji konia w pierwszych dniach wiosennego sezonu, wszystkie stajnie jednakże będą w jednakowych warunkach. Więcej szczegółowe spostrzeżenia nasze co do stanu poszczególnych koni damy w następnym numerze, tu zaś ograniczamy się do podzielenia się z Czytelnikami „7 Dni" ogólnemi wrażeniami charakteru więcej retrospektywnego.

Rok zeszły wykazał znaczne postępy w hodowli, co ilustrował dobitnie fakt, że we wszystkich wielkich gonitwach porównawczych 3-latki wszędzie były na przedzie. *Fergana* H. ks. Lubomirskiego, *Batiar* p. M. Bersona, *Pirat* 1-go Puł. Ul. Krechowieckich, biły najlepszych przedstawicieli starszych generacyj, nie wyłączając monopolistów w gonitwach specjalnych, dla koni starszych przeznaczonych, *Forwarda* i *Granata*, z których pierwszy miał przedtem opinję najlepszego po wojnie wyścigowca. Niewiele ustępowały poprzednim zeszłorocznym trzylatkom *Erudyt* A. margr. i A. hr. Zamoyskiego, *Galante* J. hr. Alvensleben Shönborna, *Samson* 9-go Pułku Strzelców Konnych, *Ghazi* p. H. Cichowskiego i pp. A. i J. Bronikowskich, a może i *Dziwo II* p. K. Dzierzbickiego.

Obecnie oprócz *Pirata*, którego udział w wyścigach z powodu pewnych niedomagań jest narazie nieco wątpliwy, reszta wyżej wspomnianej kompanji przezimowała bardzo dobrze i zdaje się być w wielkim porządku, gonitwy więc, zarezerwowane dla koni starszych, powinny być jakościowo i ilościowo dobrze obsadzone i wskutek tego przedstawiają wielkie zainteresowanie sportowe.

Z zeszłorocznych dwulatków najwięcej wygrały w roku ubiegłym *Arrow* A. margr. i A. hr. Wielopolskich, *Falada* tejże stajni, *Faust* p. B. Szwejcera, oraz *Szeryf* J. hr. Alvensleben Shönborna. *Faust* zeszedł z toru z aureolą niezwyciężonego i wskutek tego jednogłośnie okrzyczany został jako zimowy faworyt na Derby tegoroczne. Również niezwyciężoną można by uznać *Faladę*, która przegrała wprawdzie, lecz nie potrzebując być wyjeżdżana, gdyż podchodziła do słupa drugą za swą towarzyszką stajni *Arrow*. *Falada* niestety niema zapisu na Derby, więc zmuszona będzie zadowolnić się mniej zaszczytnemi nagrodami. Jeżeli dołączymy do tej czwórki *Szeryfa*, będzie to cała nasza najpierwsza klasa, która w roku zeszłym już błysnęła większym talentem. Bardzo bliską powyższej grupy była w roku zeszłym *Bascule* A. hr. Morstina, niefortunnie dosiadana przez żokeja Amosse który jesienią nie był w najlepszej formie. Obecnie stajnia zmieniła żokeja, co wychowance stada Wł. hr. Zamoyskiego powinno wyjść na korzyść.

Wielkiej poprawy oczekujemy od *Bohuna II* J. hr. Alvensleben Shönborna i *Valibola* p. L. Dydyńskiego. Za bardzo klasowego wyścigowca uważamy *Florimonda* A. margr. i A. hr. Wielopolskich, który wskutek niedomagań w zeszłym roku prawie nie biegał.

Qui vivra verra! *Józef Szempliński.*



Flisak, og. siwy, 5 l., Państwowej Stadniny Janowskiej, zeszłoroczny Derbista w gonitwie dla koni arabskich, trener Offman, pod jeźdźcem Ziniewiczem.

(Fot. Pełczyński).

Zielony Budda

W zakładzie dla chorych - nerwowych w Bylinach zdarzył się wypadek, który nie zaszedł ani razu w ciągu całych trzydziestu lat istnienia tego zakładu. Profesor Hruzewicz wyjechał na 3 długie tygodnie, powierzając kierownictwo szpitala młodemu, ledwie opierzonemu lekarzowi Zygmuntowi Kossakowskiemu.

Kossakowski był to 28-letni młodzieniec o gładko ogolonych policzkach, maleńkich strzyżonych wąsikach i dużych niebieskich oczach. Sprawiał wrażenie raczej artysty, niż lekarza, co nie przeszkadzało mu oddawać się z prawdziwą pasją swemu zawodowi.

Znał się na rzeczy, nie obawiał się odpowiedzialności, a jednak... doznawał uczucia, które dziwnie przypominało chwilami tremę, gdy pomyślał, że podczas nieobecności profesora jest naczelnym lekarzem.

Pierwsze parę dni minęło spokojnie.

Dwóch pacjentów na oddziale „gwałtownych" dostało wprawdzie ataku furji, jeden próbował ucieczki i samobójstwa, ale były to rzeczy codzienne, które nikogo nie dziwiły, ani nie przerażały.

Piątego dnia po wyjeździe słynnego psychjatry przywieziono chorego.

Nie był nowicjuszem. Przebywał przedtem dwa lata w domu obłąkanych w Wardowie. Doktór Makowski, ordynator tamtego szpitala, odesłał go do Bylin, zaopatrzywszy w list do profesora.

Kossakowski po krótkiem wahaniu rozerwał kopertę:

Drogi Profesorze! Przesyłam Panu wyjątkowo ciekawego pacjenta. Człowiek ten cierpi na manję prześladowczą. Stan przewlekły. Niekiedy miewa nawet zimne ataki. Jest to syn słynnego botanika Ostrowskiego. Polecam go gorąco, wierząc, że wiedza Wasza zdoła wyleczyć nieszczęśliwego.

Wasz

Karol Makowski.

— Na jakiego rodzaju manję prześladowczą cierpi chory? — zapytał doktór jednego z dwu ludzi, którzy przywieźli chorego.

— Nie wiemy, kazano pacjenta przywieźć, a w razie braku miejsca, zabrać zpowrotem.

— Jak zachowywał się w drodze?

— Spokojnie, jak oni wszyscy, gdy wiedzą, że są pilnowani, ale dość spuścić ich na chwilę z oczu, a furja gotowa.

— Dobrze, niech panowie powiedzą doktorowi Makowskiemu, że wprawdzie profesora niema, ale do jego powrotu przyjmuję chorego.

Po ich wyjściu, Kossakowski postanowił zbadać pacjenta. Zadzwonił. Wszedł posługacz.

— Proszę umieścić chorego w pokoju Nr. 7, zaraz tam przyjdę.

Ostrowski był 30-letnim człowiekiem o cerze smagłej, ostrym, wyrazistym profilu i dużych, szarych oczach. Czynił wrażenie najzupełniej normalne.

— Dzień dobry panu — zaczął doktór.

— Dzień dobry. Pan zapewne również chce mnie leczyć na ową chorobę umysłową?

— Nie należy przesadzać, drogi panie, porządkujemy tylko nerwy. Szczerze mówiąc, należy się nam to wszystkim.

— Nerwy! — odparł chory z ironicznym uśmiechem.

Kossakowski zmienił temat rozmowy, spodziewając się odkryć wady psychiczne pacjenta.

— Czem się pan zajmuje?

— Botaniką, podobnie jak mój ojciec. Zna pan zapewne jego pracę o roślinach wiatropylnych.

— Tak, bardzo zajmujący przedmiot, zwłaszcza jeżeli się ma zamiłowanie.

— Zamiłowanie... — powtórzył chory z wyrazem zadumy — tak, tego nie brak, tylko...

— Tylko co?

— Tylko, że właśnie dzięki temu zamiłowaniu uważają mnie za warjata.

— Przyznam się, że nie rozumiem pana.

— Widzę rośliny egzotyczne, lecz wpadam w złość, ilekroć zielony Budda przeszkadza mi.

— Zbliżamy się do rzeczy — pomyślał doktór. — Jaki Budda? — dodał głośno.

— Budda. Prawdziwy Budda, z tą tylko różnicą, że wydaje mi się zupełnie zielony.

— Na tem polega jego obłęd — myślał Kossakowski. — Baczność! Profesor w takich wypadkach leczy sugestją. Przeczyć. Tłumaczyć. Żadnego Buddy niema. Być nie może...

— Widzi pan, jak dalece jest pan zdenerwowany, miewa pan halucynacje — rzekł głośno.

Skutek był piorunujący. Chory skurczył się, jakby zadano mu silny cios w głowę, twarz mu stężała, wlepił w lekarza dwoje wielkich, płonących oczu.

— Pan też nie wierzy.

— Naturalnie, że nie wierzę. — odparł Kossakowski twardo.

— Tam! Patrz pan, tam w kącie.

Lekarz mimowoli odwrócił się i w najwyższem przerażeniu zauważył małego zielonego bożka, kiwającego na niego długiemi rękoma.

— Zwarjowałem — pomyślał doktór — ale muszę być przytomny. .

— Nie — odparł głośno — tam w kącie niema nikogo.

Co nastąpiło potem, tego Kossakowski nigdy sobie nie przypomniał. Pamiętał tylko, że chory dostał furji, że wpadli posługacze, nałożyli mu kaftan bezpieczeństwa, że wreszcie on sam wypadł z pokoju Nr. 7 i zamknąwszy się w gabinecie profesora, osunął się na pierwszy lepszy fotel.

Uspokoić się za wszelką cenę! Chwilowe zdenerwowanie przeszło. Kossakowski jest już tym samym młodym, spokojnym lekarzem, który ma przed sobą świetną karjerę medyczną. Tamto było chwilowem złudzeniem. Minęło. Zielony Budda? Śmieszne!...

Jest wreszcie lekarzem, który umie wyzwalać nieszczęsnych obłąkańców od podobnie niedorzecznych pomysłów.

Nagle wzrok jego padł na biurko profesora. Pośrodku, tuż za kałamarzem spostrzegł zielonego Buddę, który, już przed pół godziną, kiwał na niego przyjaźnie.

— Jestem. Jestem. Dzień dobry!

Kałamarz! Budda! Duże, szare oczy!...

Kossakowski stracił przytomność.

*

Profesor wezwany depeszą do powrotu, zachodził w głowę, co się stało. Trzy dni nieobecności wystarczyło do wywołania nieobliczalnych następstw. Zastał cały szpital w niebywałem podnieceniu. Dr. Kossakowski zniknął bez śladu. Żadnego listu, słowa wytłumaczenia, nic. Dezercja, czy co? Słuch zaginął o młodym lekarzu...



*

...Kossakowski zatrzasnął drzwiczki przedziału II-ej klasy nowiutkiego Pulmanna. Rozejrzał się. Nie było jeszcze nikogo, pociąg bowiem odchodził dopiero za pół godziny. Usiadł tuż przy oknie, nie chcąc patrzeć w pusty przedział. Myśli kąsały go jak przykre, dokuczliwe komary. Co zrobił właściwie dobrego?

Ze szpitala wprost do domu po walizkę, cała bieżąca gotówka do kieszeni i bilet do Gdańska. Oto siedzi teraz tutaj. Trzeba uciekać od szpitala, warjatów, zwłaszcza od tego z szaremi oczyma, który... Nie, nie wolno o tem myśleć, nie wolno myśleć wogóle. Droga, wrażenia, nowi ludzie. Może jakoś przejdzie...

Zapalił papierosa. Otworzył okno.

Nie, będzie za zimno. Zamknął je znowu. Nagle drzwiczki otworzyły się i ktoś wszedł do przedziału. Odetchnął. Było to jakieś młode małżeństwo.

Poczuł do nich nieograniczoną wdzięczność. Nie będzie sam w tem toczącem się pudle.

— Państwo do Gdańska? — zapytał, nie siląc się na wyszukanie pretekstów do rozpoczęcia rozmowy.

— Tak, a pan? — odpowiedział uprzejmie gentelman o ogorzałej twarzy.

— Ja również — państwo pozwolą, że się przedstawię — bąknął swoje nazwisko.

Potoczyła się zwykła, kolejowa rozmowa. — Pociąg ruszył.

I nagle Kossakowski poczuł szaloną żądzę wyspowiadania się przed tym dwojgiem nieznajomych ludzi. Wiedział, że to niema sensu, że łatwo mogą przyjść do wniosku, iż mają do czynienia z szaleńcem, zarazem jednak zdawał sobie dokładnie sprawę, że nic na świecie nie zdoła odwieść go od wykonania tego zamiaru.

Bez żadnych wstępów zaczął opowiadać. Wszystko z najdrobniejszemi szczegółami.

— Więc pan istotnie widział zielonego Buddę?

— Tak panie — i daj Boże, bym go więcej nigdy nie zobaczył.

— Hm, tak, to dla mnie nie ulega wątpliwości — odparł po chwili namysłu Czerniewski. — Został pan zahypnotyzowany. Zahypnotyzowany przez warjata...

— Przez warjata? — powtórzył Kossakowski z najwyższem zdumieniem.

— Tak, to jest nawet dosyć proste. Pan jest zapewne istotą medjalną, trafił pan na człowieka o wielkiej sile hypnotycznej, który pod wpływem efektu użył tej siły. Nieszczęście chciało, że człowiek ów był szaleńcem.

— Według pana ,zjawa zielonego Buddy nie świadczy o poczynającym się u mnie rozstroju psychicznym.

Kossakowski urwał. Na ciemnem tle szyby pędzącego Pulmannu ujrzał znaną, zieloną twarz.

W tej samej chwili p. Czarniewska wydała głośny okrzyk:

— Budda, zielony Budda, jest istotnie!

*

Kossakowski i Czerniewscy zatrzymali się w Gdańsku w hotelu Continental. Czerniewski okazał się dyrektorem jednego z polskich towarzystw żeglugi morskiej. Przyjechał obecnie do Gdańska z warszawskiej centrali w sprawach służbowych.

Ukazanie się Buddy przyjął, w przeciwieństwie do żony, zupełnie spokojnie.

— Znam tu pewnego kapitana marynarki, jak głosi fama wielkiego maga, coś w rodzaju wtajemniczonego. Pojedziemy do niego, dobrze?

Na tem stanęło. O godzinie 6-ej wieczór zadzwonili do drzwi mieszkania kapitana.

Po chwili wprowadzono ich do wielkiego gabinetu, w którym stała otomana, szafy z książkami i duże biurko ,za którem siedział kapitan.

— Pan dyrektor miał osobliwą przygodę, proszę mi opowiedzieć szczegóły.

— Skąd pan wie, że miałem przygodę?

— Nie wiem, sądzę tylko.

Czerniewski przedstawił żonę i lekarza, poczem opowiedział o Buddzie.

— Przypuszczam — kończył swe opowiadanie — że pan doktór został zahypnotyzowany przez warjata z szaremi oczyma. Czy mam słuszność?

— Nie wiem, ale zdaje się, że tylko częściowo, zaraz się zresztą przekonamy. Czy pańska małżonka widziała również Buddę?

— Tak jej się przynajmniej zdawało.

— A pan?

— Ja nie.

— Czy zgodzi się pan, doktorze — zwrócił się do Kossakowskiego — poddać się pewnemu eksperymentowi.

— Wszystko, byleby się uwolnić od tej egzotycznej zmory.

— Chwileczkę cierpliwości, zaraz się przekonamy.

Posadził lekarza na otomanie. Ujął jego prawą rękę. Usiadłszy obok, wyjął z kieszeni małą srebrną kulkę i położył ją na dłoni drugiej ręki.

— Niech się pan w nią wpatruje. Niedługo pan uśnie.

Kossakowski patrzył. Kuleczka srebrzyła się, błyszczała. Naraz poczęła maleć, oddalając się od oczu lekarza. Poczuł ciepło w tyle głowy.

— Powieki panu cięża, powoli*zamykają się. Pan śpi! — słyszał jeszcze głos hypnotyzera. Poczem ogarnęła go nicość...

— Śpi pan spokojnie, serce funkcjonuje sprawnie, czuje się pan dobrze — mówił miarowym głosem kapitan.

— Kossakowski zwiesił bezsilnie głowę.

— Teraz przejdzie pan przez stan katalepsji.

Nerwowa drgawka wstrząsnęła ciałem Kossakowskiego. Wyprężył się.

— Już minęło. Mięśnie rozprężają się. Tak, teraz jest dobrze. Czy pan śpi?

— Tak, — odpowiedział cicho Kossakowski.

— Będzie pan odpowiadał na pytania. Czy widzi pan zielonego Buddę?

— Tak, on jest we mnie.

— Dobrze. Teraz pan się oddziela i wędruje. Twój drugi astral oddziela się również. Ty jesteś tutaj z nami. On wędruje do Warszawy. Czy słyszysz, do Warszawy! Wchodzisz do dużego, znanego ci domu. Ten dom jest szpitalem. Odnajdujesz pacjenta Ostrowskiego. Czuje się on dobrze. Nie widuje już zielonego Buddy. Co robi on obecnie?

— Śpi — szepce Kossakowski.

— Znasz jego powłokę, byłeś tam?

— Tak.

— Teraz właściwe „ja" wraca. Już jest w tobie. Przechodzisz przez stan katalepsji. Budzisz się. — powtórzył.

Kossakowski powoli otworzył oczy.

— Co się ze mną działo? — zapytał.

— Nic szczególnego. Uwolniliśmy pana tylko od zielonego Buddy.

— Niech nam pan to wytłumaczy — prosiła pani Czarniewska z pewnem niedowierzaniem.

— Bardzo chętnie. Tylko proszę o chwilę uwagi i względności, doktorze, dla mnie, laika w sprawach urzędowej medycyny, który jednakże ośmiela się wypowiedzieć nieco odmienne zdanie, o prawdziwości którego przekonasz pan się na sobie. Jednym z najczęstszych wypadków obłędu jest to, co w średniowieczu nazywano opętaniem. To znaczy, wcielenie się elementu astralu obcego. Kiedy usłyszałem o pańskim wypadku, powziąłem podejrzenie, że Ostrowski uległ podobnemu opętaniu, który, rzecz jasna, musiało wywołać zaburzenia nerwowe.

Dlaczego ukazywał mu się „zielony Budda", a nie Juljusz Cezar, lub Napoleon, trudno orzec. Prawdopodobnie jakieś chorobliwe skojarzenie wyobraźni. Tutaj zaczyna się proces, którego domyślał się dyrektor. Chory, jednostka o wybitnej sile hypnotycznej, zahypnotyzował lekarza, wyśmienite medjum. W chwili ujrzenia zjawy ogarnęło p. Kossakowskiego przerażenie. Warjat - Ostrowski również był wzburzony. Dostał podobno furji. Obaj musieli mieć moment chwilowego zamroczenia, podczas tych paru dni ów niebezpieczny furjat był zdrowy, a pan doktorze niezmiernie bliski tego, co my nazywamy potocznie obłędem.

Moja rola polegała na zwróceniu niewłaściwego astrala Ostrowskiemu i oddania panu swojego.

— Dlaczego pan nie wyleczył tego nieszczęśnika? — spytał lekarz.

— Bowiem nie wolno sprzeciwiać się prawom natury.

— Dziwny z pana człowiek, kapitanie. A czy może pan wytłumaczyć nam, dlaczego tam w przedziale pani Czerniewska widziała również zjawę?

— Przy niektórych wyjątkowo silnych wypadkach hypnozy, halucynacje, mocą żywotną medjum materjalizują się, wywołując obraz.

*

Od tego czasu Kossakowski nie widział nigdy więcej „zielonego Buddy"...

Jerzy Lewestam.

Myśli

Z „MĄDROŚCI I PRZEZNACZENIA" MAETERLINCKA WYBRAŁ I PRZEŁOŻYŁ PEJOT.

Nie granice państwa stanowią o granicach naszego przeznaczenia, lecz granice naszych dusz.

*

Człowiek, który zabił, powiada: tak, zabijam, ale nie kradnę. Człowiek, który ukradł, kradnie, ale nie zdradza. Człowiek, który zdradził, nie zdradzi swego brata. Bo każda istota ludzka szuka schronienia dla ducha w ostatniem pięknie, które jej jeszcze pozostało. Nawet najnędzniejszy z ludzi posiada coś w rodzaju świątyni w swej duszy, w której bije źródło wody żywej, skąd czerpie siłę niezbędną do dalszego żywota.

*

Nie staniemy się mędrcami przez wyrzeczenie się szczęścia, które nam otacza — lecz, stając się mędrcami, bezwiednie wyrzekamy się szczęścia, któreśmy już przerośli.

*

Prawda, nawet posępna, już przez to samo, że jest prawdą, ma większą wartość od kłamstwa, nawet najbardziej czarującego.

*

Obowiązkiem mędrca jest pukać do wszystkich świątyń, do wszystkich siedlisk sławy, działalności, szczęścia i miłości. Jeżeli nawet drzwi się przed nim nie otworzą, kto wie, czy w samym wysiłku i tęsknocie oczekiwania nie odnajdzie skarbów, ukrytych za temi drzwiami!

*

Lepiej kochać gorąco jakiś wielki błąd, niż służyć niechętnie jakiejś wielkiej prawdzie.

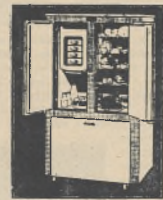
*

Trzeba aby nasze myśli przewyższały dziesięciokrotnie nasze uczynki, aby uczynki te stały się bodaj moralnie uczciwe.

*

Szerokość, długość, głębokość i siła prądu rzeki życia jest dla nas bez znaczenia. Wszystko zależy od czystości i pojemności puharu, którym z niej czerpiemy.

Chrońcie zdrowie swych rodzin.



WIELKIE ryzyko ponosi ten, kto przechowuje swe produkty spożywcze w temperaturze powyżej + 8° C. Przy takiej temperaturze obficie się tworzy w nich pleśń i rozwijają się niezliczone ilości bakteryj. Owoce, jarzyny, mięso i mleko... wszystko psuje się szybko, choć czasami niespostrzeżenie. Tylko przez mikroskop zobaczyć można zmiany organiczne w produkcie, nim wzrok i powonienie ostrzegą o jego zepsuciu.

Przechowując produkty w niewłaściwy sposób, narażacie swoje zdrowie i zdrowie swych rodzin na ukryte niebezpieczeństwo. Produkty spożywcze, które *wydają* się nam świeże, mogą w rzeczywistości być niezdatne do użytku. Chłodnia Frigidaire zabezpieczy zdrowie Wasze przed niewidzialnym wrogiem; przechowując produkty spożywcze w *bezpiecznej* temperaturze, w której całkowicie zachowane będą ich świeżość, smak i wartość odżywcza. Posiadając chłodnię Frigidaire, pani domu może mieć na każde żądanie sałatki i desery mrożone... może mieć zawsze świeży lód do potraw i napojów chłodzących... bez względu na pogodę.

Frigidaire jest chłodnią automatyczną. Nie wymaga żadnej obsługi. Działa przy pomocy prądu elektrycznego, który zużywa w ilościach minimalnych. Działa zawsze cicho, spokojnie i pewnie.

Prosimy o odwiedzenie naszego stoiska na wystawie. Chętnie udzielimy Wam szczegółowych i wyczerpujących informacyj.

CO WSKAZUJE MIKROSKOP?



Jabłko przechowywane w chłodni „Frigidaire" w temperaturze poniżej 8° C nie wykazuje żadnych śladów pleśni.

Jabłko przechowywane zwykłym sposobem, w temperaturze ponad 8° C wykazuje wielką ilość pleśni i bakteryj.

FRIGIDAIRE

PRZEDSTAWICIELSTWO NA POLSKĘ I W. M. GDAŃSK

„ELIBOR"

SP. AKC. HANDLOWO-PRZEMYSŁOWA

Ł. J. BORKOWSKI

Centrala: Warszawa, Mazowiecka 11, tel. 8-65.

ODDZIAŁY:

POZNAŃ, ul. Gąsiorowskich 6.

GDAŃSK, Elisabethwall 9.

ŁÓDŹ, Kilińskiego 70.

KRAKÓW, Rynek 26.

Wiosenne pocałunki

Starzy siwobrodzi uczeni, zbadawszy położenie różnych słońc i księżyców, ogłosili uroczyście z wyżyny obserwatorjów, że 21 marca zaczyna się wiosna.

Ale my — zwyczajni ludzie — nie szukamy tej wiosny w głębinach kosmosu; szukamy jej obok siebie, na ziemi. Czy jest ciepło i słonecznie? Czy wróble się weselą? Czy sztubaki chodzą na wagary? Czy rzodkiewki staniały?...

I jeszcze: czy widział już kto w ustronnej alei całującą się parę?

Bo jakoś trudno sobie wyobrazić wiosnę bez pocałunków.

Zaznaczyć tu muszę, że idzie mi jedynie o pocałunek miłosny. U nas straszliwie sprofanowano pocałunek, używając go do tak prozaicznych funkcyj jak np. dziękowanie paniom za obiad. Płakać się chce nad tym pocałunkiem, odgrywającym rolę dziadowskiego podziękowania za „grzaną polewkę". Już szlachetniejszą i właściwszą jest rola pocałunku w „bruderszafcie", choć Börne powiedział kiedyś, że wolałby psa w nos pocałować, niż w usta innego mężczyznę. (Panie, czytające mój feljeton, przepraszam imieniem Börnego za ten trywialny zwrot; gdyby im się coś w dalszym ciągu tego studjum nie podobało niechaj zamkną oczy, jak czynią to zwykle... przy pocałunku...). Pozatem, zastrzec się muszę, że mówiąc o pocałunku mam na myśli jedynie pocałunek w usta. Inne znaczą zbyt wiele — lub zbyt mało. Zresztą, jak to słusznie zauważa mój profesor sztuki całowania J. Ejsmond — wszystko może być *całowane*, ale tylko usta są całowane i *całujące* zarazem.

I czem jest właściwie ten pocałunek, nasz główny sprawdzian Wiosny?

Jeśli wierzyć poetom — starym blagierom, którzy już w lutym piszą pełne kwiatów wiersze na „sezon wiosenny" — pocałunek jest wszystkiem. Poeci, z natury rzeczy predystynowani do ubierania w szatę słów najcudniejszych i najbardziej subtelnych przejawów życia, poświęcili pocałunkowi tyle sonetów, trjoletów i rond, że książkami ich możnaby 777 razy otoczyć kulę ziemską, nie wyczerpawszy jeszcze całego zapasu. Myślę, że nawet tak wybitny znawca, praktyk i teoretyk pocałunku, jak p. Ejsmond, nie przebrnął nawskroś przez tę gigantyczną, poetyczną dżunglę...

Pocałunek — symbol miłosnego zespolenia — stał się w poezji poprostu samą miłością. Gdy autor chce czytelnika przekonać, że bohaterowie jego kochają się — każe im tonąć w pocałunkach, i pocałunkami „markuje" miłość.. Gdyby żyło kiedyś na ziemi pokolenie nieznające miłości, a chciałoby powziąć o niej zdanie na zasadzie współczesnej nam literatury — doszłoby do wniosku, że miłość polegała jedynie na pocałunkach. „Niema kochania bez całowania" mówi ludowe przysłowie. Podług poetów, pocałunek jest niebem i piekłem, winem i miodem, wszystkiemi czterema żywiołami, chaosem i harmonją, roskoszą i bólem.

A podług nauki?

Fizjologja mówi: „Pocałunek jest to zetknięcie warg osobników płci odmiennej przyczem powstaje pewien skurcz mięśni". To trochę mało; przy paleniu papierosa też powstaje „pewien skurcz mięśni". Filozofja, w osobie wielkiego Hegla, powiada (uważajcie!): „pocałunek jest ruchem pojęcia warg, wywołującym takie jakościowe wyróżnienie się drugiej jaźni, że powstaje z tego utożsamienie podmiotu z przedmiotem, a ideału z rzeczywistością". Rozumiecie? Ja też nic nie rozumiem...

Teologja mówi poprostu: „pocałunek jest czynnością symboliczną, wyrażającą dążenie z ziemi do nieba".

Czy nie dziwne, że najpiękniejszą definicję pocałunku dali teologowie — właśnie ci, którzy mieli z nim najmniej do czynienia?

Kiedy powstał pocałunek — niewiadomo. Istnieje o tem legenda stara, jak świat, bo sięgająca szóstego dnia stworzenia. Ponoć Ewa w Raju usnęła, a pszczoła — zwabiona czerwienią jej ust, pyszniejszą, niż czerwień kwiatu, — złożyła na purpurowych wargach kroplę miodu. Łakomy Adam spił miód, odkrywając w ten sposób stokroć milszą słodycz—słodycz pocałunku.



Szczyt pocałunku, albo pocałunek na szczycie...

Ale to tylko legenda. Naprawdę zaś wiemy, że pocałunek dopiero zczasem wszedł w służbę Erosa, początkowo będąc jedynie oznaką przyjaźni, lub szacunku. Ale już w starym Rzymie całowano z takim zapałem, że aż grozić to poczęło całości państwa, i — jak świadczy Swetonjusz — cesarze czuli się w obowiązku wydawać przeciw temu zwyczajowi specjalne edykty. Katon za ucałowanie mężatki przewidywał karę śmierci. Gdyby tak u nas — co?...

W średniowieczu kult pocałunku upadł znacznie: mimo to kronikarze ówcześni zanotowali kilka ciekawych wypadków „pocałunkowych", Oto np. pewnego razu biskup Spiry, wysadzając cesarzową z karety, chciał ją — wedle przyjętego zwyczaju — pocałować: przeszkodził temu cesarz Rudolf I, mówiąc: „od takiego błogosławieństwa broń mnie, Panie!".

We Francji Ludwików całowano ogromnie wiele; sami królowie dawali temu przykład, a mogli sobie pozwalać dowoli, bo etykieta dworska wymagała, aby król nie płacił za pocałunek więcej, niż 4 pistole. Inaczej prędko byłyby pustki w skarbie państwa...

Drożej nieco kosztował hrabiego Marsylji Foulques'a pierwszy pocałunek, uzyskany u narzeczonej. Biedny hrabia zapłacił zań szesnastoma wsiami z inwentarzem...

Ale stokroć piękniejsze od tych wszystkich „historycznych" i kosztownych pocałunków pozostaną zawsze te ciche i skromne, za które niczem się nie płaci, najwyżej — czasem — miłością.

Idzie wiosna. Stanęła po tamtej stronie Tatr, i trenuje się, aby je przeskoczyć. Niedługo już u nas będzie. Rzodkiewki stanieją, sztubaki pójdą na wagary, aleje zakwitną najpiękniejszemi kwiatami w toczkach rdzawych i bleu. Wygasły już edykty Cezarów i prawa Katona, nie obowiązuje nas etykieta Ludwika XIV-go...

A więc, panowie?...

Konrad Piotrowski.

Czy wiecie że...

...suma nagród im. Nobla wyniesie w roku 1929 franków 1,180.000.

*

...sfilmowano przed paroma dniami w Anglji obraz, którego treść rozgrywała się na zewnątrz pociągu zwanego „the Flying Scottsman" podczas biegu z szybkością 90 kil. na godzinę.

*

...podatek obrotowy w wysokości 2,5% został wprowadzony przez Rzymian za Kajusa Grakchusa, który ponadto wprowadził podatek od zbytku w wysokości 12%.

*

...pewien bogacz amerykański rozesłał wśród 1.000 osób po 1 dolarze z obowiązkiem zwrócenia tej kwoty, powiększonej dobrowolnym datkiem na wskazany zgóry cel dobroczynny. Okazało się w rezultacie, że zaledwie 6% z tych osób pozostawiło list bez odpowiedzi.

*

...bogacz amerykański, niejaki Józef Kitchell stworzył drogą naukowej syntezy obraz, bedący zbiorową reprodukcją wizerunków Matki Boskiej pędzla zgórą 300 mistrzów sztuki. Praca ta zajęła mu około 30 lat pracy i kosztowała zgórą 15.000 funtów szterlingów.

*

...pomimo coraz bardziej popularnych teoryj pacyfistycznych uchwalono w Stanach Zjednoczonych budżet na marynarkę w wysokości 75.000.000 funtów szterlingów. Tym sposobem osiągnięta zostanie wyższość nad flotą angielską o 10.000 ton. Pozatem wzmocniona zostanie żegluga powietrzna o 273 samoloty.

*

...sport myśliwski przynosi we Francji zgórą 900 milj. franków na korzyść przedsiębiorców prywatnych i ponad 300 milj. na korzyść rządu.



Dr. Kazimierz Świtalski, dotychczasowy Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Premjer nowego gabinetu Rzeczypospolitej, uformowanego w niedzielę dnia 14 kwietnia



Profesor Samojłowicz, kierownik ekspedycji, który ra'ował Nobilego, otrzymał od niemieckiej akademji umiejętności wysokie odznaczenie za wyniki swych badań Atlantyku



Senator Edge, następca niedawno zmarłego ambasadora Stanów Zjednoczonych we Francji Herricka znany i wypróbowany przyjaciel Polski, objął w tych dniach swój urząd



Wiedeński architekt Józef Gartlgauber dokonał epokowego wynalazku, przywracając wzrok ociemniałym przy pomocy sztucznych źrenic reagujących na krótkie fale elektryczne



Niedawno zmarł w Tokjo w wieku 75 lat książę Shimpei Goto, zasłużony mąż stanu, potomek jednej z najbardziej arystokratycznych rodzin kraju „Wschodzącego Słońca"



Amerykański senator Blease wystąpił na jednej z sesyj parlamentu z wnioskiem, aby dyplomatom państw obcych zabroniono przechowywania alkoholu w swych mieszkaniach.



W tygodniu ubiegłym odbyła się w Paryżu uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod pomnik Mickiewicza, dłuta słynnego rzeźbiarza francuskiego, Bourdelle'a. Wewnątrz umieszczono urnę bronzową z ziemią, wziętą z grobowca Naczelnika Kościuszki. W uroczystości wzięli m. in. udział: syn poety, rzeźbiarz Bourdelle oraz ambasador Chłapowski, których widzimy na tej fotografji. (Wide World Photos)



Pilot Linji Lotniczej „Lot", p. Jerzy Mitz, ustalił w ubiegłym tygodniu rekord transportowy: na płatowcu Fokker F VII przewiózł z Krakowa do Warszawy około 700 klg. towarów, poczty i bagażu, oraz dwuch pasażerów. Start i lądowanie odbywały się w warunkach niekorzystnych ze względu na roztopy na lotniskach. (Normalny ładunek wynosi 400 — 500 kilo)
(Fot. Świtalski)



Dnia 5-go kwietnia odbyło się w Warszawie z okazji wprowadzenia na polski rynek samochodowy nowego 6-cylindrowego modelu „Chevrolet 1929" śniadanie dla prasy, połączone z pokazem nowych modeli. Goście nie szczędzili wyrazów uznania dla „General Motors Corporation", które wprowadziło luksusowy, 6-cio cylindrowy samochód Chevrolet w cenie 4-cylindrowego. Na zdjęciu naszem siedzą od lewej do prawej: J. J. Akston, Kierownik Działu Reklamy i Intensyfikacji Sprzedaży „General Motors" w Polsce (I), J. R. Alexander, Zastępca Dyrektora Naczelnego „General Motors" w Polsce (II), W. L. Pawłowski, Dyrektor Naczelny „General Motors" w Polsce (III), O. K. Winding, Kierownik Wydziału Sprzedaży „General Motors" w Polsce (IV), P. Chaczyński, Kierownik Działu Prasowego „General Motors" w Polsce (V).

„Człowiek jest zwierzęciem towarzyskiem"

DZIWACZNE KLUBY W EUROPIE I ZA OCEANEM.

„Człowiek jest zwierzęciem towarzyskiem" — twierdzi staro-helleńskie przysłowie. Bezwątpienia i my niem jesteśmy i to w bardzo wysokim stopniu, o czem świadczy m. in. słynna staropolska — zanikająca już! — gościnność. Lecz w naszym kraju poza klasycznemi klubami w rodzaju „Myśliwskiego", „Automobil-Klubu" i „Szachistów", wreszcie poza klubami literackiemi, artystycznemi, i sportowemi — „każdy sobie rzepkę skrobie", nie odczuwając potrzeby łączenia swych znajomych, kolegów i przyjaciół w organizacje klubowe.

Inaczej dzieje się na zachodzie Europy, a zwłaszcza na drugiej półkuli, gdzie poprostu roi się od klubów wszelkiego rodzaju, często tak dziwacznych, że doprawdy w głowie pomieścić się nie chce, jak mogli ludzie dorośli i przy zdrowych zmysłach ułożyć ich statuty.

Np. taki „Bontam-Club" istniejący w kilku miastach Ameryki. Członkowie jego nie mają nic lepszego do roboty od wysłuchiwania śpiewu... kogutów. Kilka razy do roku klub urządza uroczyste konkursy; każdy z jego członków przynosi swego mistrza rozgłośnego „kukuryku", a fachowa komisja sędziowska z namaszczeniem notuje punkty...

Liczne są — i to nietylko w Ameryce — „Kluby łysych", których prezesami są panowie, oddawna już znakomicie obchodzący się bez grzebienia. Ponoć, jak zapewniają w naszych dowcipnych kawiarniach literackich, członkowie jednego z takich klubów na widok fotografji naszego utalentowanego autora „Niewinnej grzesznicy" wpadli w taki zachwyt, że zmiejsca wybrali go na swego członka - korespondenta...

„Podstawą sympatji jest podobieństwo". Łączą się więc ludzie w kluby, których członków cechuje jakiś nadmiar (słynny „Klub miljonerów") ,lub jakiś brak. Rzecz prosta, że łatwiej o to ostatnie. Mamy w Apalachicola, małem mieście na Florydzie, „Malaria - Club", którego członkowie wykazują stale ponad 38 stopni temperatury — a na całym kontynencie można naliczyć ponad sto „Klubów ślepej kiszki". Członkami ich zostać mogą jedynie osoby, pozbawione wyrostka robaczkowego drogą operacji, przyczem muszą składać dowody rzeczowe w postaci słoiczka z tym zamarynowanym organem szczątkowym...

Mało tego! Od lat kilkudziesięciu istnieje w Nowym Orleanie klub, mający na celu wyszukiwanie i popieranie ludzi brzydkich. Pięciu dostojników miejscowych, brzydszych od samego Quasimoda, stanowi prezydjum tego klubu, do którego należą największe pokraki z całej okolicy i najstraszliwsi brzydale w promieniu kilkuset mil.

Corocznie, w porze wiosennej, klub ogłasza powszechny i publiczny konkurs brzydoty, który odbywa się z całą pompą na jednym z miejskich placów publicznych. Tłumy publiczności schodzą się na to widowisko, oklaskując lub wygwizdując poszczególnych kandydatów.

Jak podaje prasa miejscowa, pięciokrotnym zwycięscą był pewien bogacz miejscowy, prezes tego klubu. W tym roku jednak został sromotnie zwyciężony przez jakiegoś Kalifornijczyka, którego fenomenalna brzydota godna była zaiste pędzla jakiegoś Ropsa, czy też Goya'i. Zwycięsca był biedakiem bez grosza w kieszeni — wobec czego, pragnąc za wszelką cenę zatrzymać taki okaz w N. Orleanie, poczciwy prezes ofiarował mu znaczną sumę na założenie jakiegoś magazynu w najbogatszej dzielnicy miasta.

W miarę rozwoju przemysłu samochodowego coraz liczniej powstają w Ameryce kluby... poszkodowanych przez automobile. Nie brak również „Klubów ofiar wypadków kolejowych", „Klubów lewej ręki" i „Zezowatych"...

Wprowadzenie prohibicji alkoholowej znakomicie przyczyniło się do rozwoju klubów, których liczba w Ameryce potroiła się. Rzecz prosta, że kluby te, powstające jak grzyby po deszczu pod różnemi pozorami i hasłami, mają



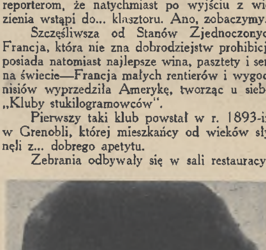
Słynny bankiet członków „Excentric-Clubu" w Filadelfji Smacznego!...

przedewszystkiem na celu dostarczanie swym członkom bachusowych roskoszy. „Królową" jednego z takich „Nocnych klubów" była piękna Miss Helen Morgan, której fotografję podajemy na tej stronie „7 Dni". Skazana na kilkumiesięczną karę więzienną za uporczywe przekraczanie ustawy, oświadczyła oblegającym ją reporterom, że natychmiast po wyjściu z więzienia wstąpi do... klasztoru. Ano, zobaczymy...

Szczęśliwsza od Stanów Zjednoczonych Francja, która nie zna dobrodziejstw prohibicji, posiada natomiast najlepsze wina, pasztety i sery na świecie—Francja małych rentierów i wygodnisiów wyprzedziła Amerykę, tworząc u siebie „Kluby stukilogramowców".

Pierwszy taki klub powstał w r. 1893-im w Grenobli, której mieszkańcy od wieków słynęli z... dobrego apetytu.

Zebrania odbywały się w sali restauracyjnej. Każdy członek klubu wnosił zgóry umówioną z gospodarzem opłatę, przyczem w myśl statutu przysługiwała mu zniżka w wysokości 5% od każdego kilograma ponad 100 klg. żywej wagi. Dzięki temu założyciel i pierwszy prezes tego klubu, zacny p. Trillat, ważący 110 klg., płacił tylko połowę. Kroniki nie podają, niestety, ile dopłacano tak świetnie reprezentującym swój klub pp. Rubichon i Buqui, z których pierwszy ważył 130, a drugi 126 kilogramów...



Słynna „królowa nocnych klubów" nowojorskich, Miss Ellen Morgan, skazana na więzienie za przekraczanie ustawy przeciwalkoholowej, ma zamiar po odcierpieniu kary wstąpić do klasztoru.

U wejścia do restauracji umieszczono potężną wagę, na której sam właściciel restauracji sprawdzał stan zdrowia swych niebezpiecznych gości. Operację tę powtarzano po bankiecie, skrupulatnie notując w kronikach klubowych, ile kilogramów przybyło każdemu z członków klubu...

Zczasem powstały rekordy obżartswa, których nie powstydziliby się nawet bohaterowie Rabelais'go. Taki np. champion „Klubu Gastronomów" w Dubuque dał pewnego razu istny recital obżarstwa, pochłaniając w przeciągu niespełna dziewiętnastu godzin 40 klg. surowej wołowiny, 3 wielkie puszki konserw i 4 potężne placki z konfiturami. Słynny żarłok Mellvy, obdarzony przez naturę elastycznym żołądkiem, nosił stale specjalne ubrania gumowe, gdyż inne popękałyby podczas jego obiadów i wieczerzy. Dnia pewnego przebrał jednak miarkę i, objadłszy się więcej niż zazwyczaj, zmarł w straszliwych męczarniach.

Jeżeli już mowa o bankietach, warto wspomnieć o przyjęciu, wydanem ćwierć wieku temu przez słynny „Excentric - Club" w Filadelfji. Na przyjęciu tem, jak to widzimy na załączonym rysunku, zapożyczonym z „Life'u", członkowie klubu zasiedli „ramię przy ramieniu" obok świnek, kur i t. p., w zgodnej harmonji dzieląc się z niemi darami bożemi...

Innego typu przyjęcie urządził niedawno pewien miljoner amerykański, wielki amator sportu wyścigowego, przyjmując swych gości... w stajni i sadzając ich, zamiast na krzesłach, na grzbietach końskich z przyczepionemi do nich specjalnemi stolikami. Po wspaniałej uczcie gościnny gospodarz wzniósł zdrowie swych gości, prosząc ich, aby przyjęli w podarunku szlachetnej krwi rumaki, które tak spokojnie zachowywały się podczas przyjęcia.

W Londynie od dłuższego już czasu znakomicie rozwija się oryginalny „Klub trzynastki", mający na celu walkę z przesądami. Na sali bankietowej stoi 13 stołów po 13 miejsc przy każdym. Noże są umyślnie skrzyżowane z widelcami, sól rozsypana po obrusach, a menu składa się z 13-u potraw.

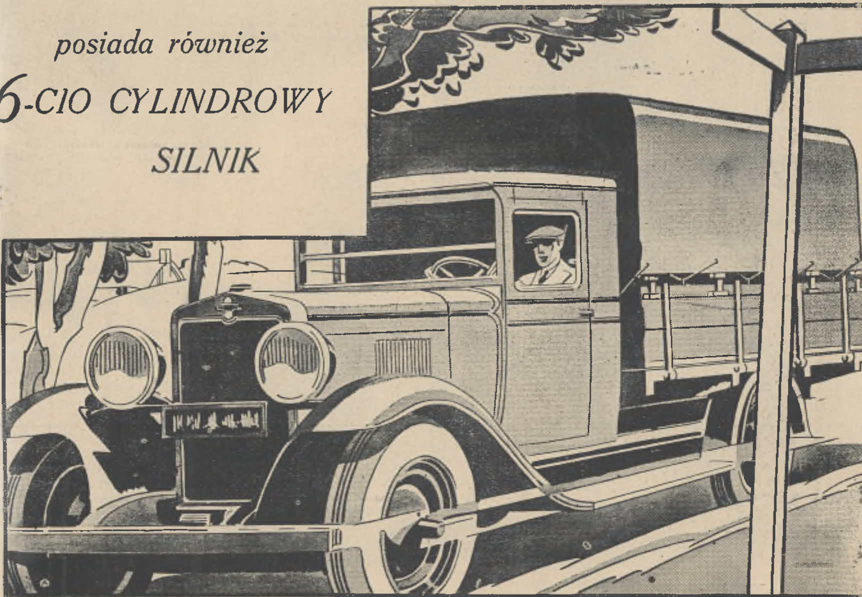
Rzecz prosta, że i w tym wypadku Yankesi nie dali się zdystansować mieszkańcom mglistego Albionu, zakładając „Klub osób, które nie pragną być żywcem pochowane", a następnie „Klub upiorów". Strojem klubowym jego członków jest całun. Ściany sali jadalnej są „ozdobione" trupiemi głowami, w których oczodołach płoną lampki elektryczne, zalewając salę zielonkawem światłem. Stoły zastępują katafalki, przy których biesiadnicy zasiadają na krzesłach w kształcie trumien. Każdy z członków tego klubu jest przymusowym abonentem „fachowego" miesięcznika „Widmo", wydawanego przez jakiegoś makabrycznie nastrojonego mieszkańca miasta Tombstone. Inne pismo tego rodzaju, dziennik (!) pod znamienną nazwą „The Stroud illustrated" („Całun ilustrowany") wydaje w Detroit pewien właściciel zakładu pogrzebowego. Dziennik ten daje swym abonentom tygodniowy dodatek humorystyczny (sic!) i, tytułem premji, rozlosowuje wśród nich co tydzień po pięknej trumnie dębowej... *Mi-mo.*

Nowa ciężarówka Chevrolet

posiada również

6-CIO CYLINDROWY

SILNIK



Zużycie paliwa w nowym Chevrolecie jest mniejsze, niż w poprzednich 4-cylindrowych modelach

Wyższość 6-cylindrowego silnika nad 4-cylindrowym w zastosowaniu do współczesnego samochodu, osobowego, czy ciężarowego, była zawsze oczywistą. Cicha, elastyczna praca, znaczne szybkości, znakomita akceleracja, możność łatwego uruchomienia — oto kilka zalet silników 6-cylindrowych.

Nowa ciężarówka Chevrolet, zaopatrzona w 6-cylindrowy silnik, o mocy zwiększonej o 32,6% przoduje w oszczędności wszystkim innym samochodom ciężarowym. Przez ulepszenie komory wybuchowej, nową konstrukcję rury wylotowej i ulepszoną karburację, zużycie benzyny i oleju w nowej 6-cylindrowej ciężarówce jest nawet mniejsze niż w poprzednim modelu 4-cylindrowym, który zdobył sobie wszechświatowe uznanie dla swych zalet.

W nowym Chevrolecie zastosowano najlepsze materjały, które w laboratorjach General Motors poddawane były niezliczonym próbom. Wszystko to wpływa na rzeczywiście niskie koszta utrzymania nowej ciężarówki Chevrolet, która staje się niezastąpionym czynnikiem w rozwoju każdego przedsiębiorstwa. Daje ona zupełną pewność niezawodnego, taniego i szybkiego transportu w najgorszych warunkach drogowych.

W nowej ciężarówce Chevrolet, obok 6-cylindrowego silnika z zaworami, umieszczonemi w głowicy, zastosowano cały szereg innych, najbardziej nowoczesnych ulepszeń, jak pompkę do benzyny z filtrem, filtr do powietrza, urządzenie wentylacyjne karteru, nowy system oliwienia. Wzmocniono wał rozrządczy i korbowy. Rozstaw osi został w nowym modelu zwiększony o 17,2 cm., wobec czego można obecnie stosować w nowym Chevrolecie dłuższe karoserje, co ma szczególnie duże znaczenie dla komunikacji autobusowej. Rama została podłużona i znacznie wzmocniona, zaś uchwyty resorów umocowano w ten sposób, by jak najbardziej obniżyć poziom platformy, co w dużym stopniu ułatwia ładowanie i rozładowywanie samochodu. Nowe hamulce na 4 koła, 4 biegi wprzód, kierownica z łożyskami kulkowemi, znakomita elastyczność motoru, ułatwiają pracę kierowcy w ruchu ulicznym, na szosie i na wiejskich drogach.

6-cylindrowy samochód ciężarowy Chevrolet, łączy w sobie zwiększoną nośność i szybkość z najnowszemi udoskonaleniami technicznemi. Przy bardzo niskiej cenie w stosunku do wartości i niewielkich kosztach utrzymania, stanowi doskonały środek transportowy.

Podwozie półciężarowe o nośności wozów osobowych nadaje się idealnie do taksówek.

Dzięki dogodnym warunkom płatności jest on dostępny dla wszystkich kategoryj przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych. **Wyrób General Motors.**

Upoważnione Zastępstwa na całem terytorjum Polski i w Wolnem Mieście Gdańsku.

CHEVROLET CIĘŻAROWY

GENERAL MOTORS w POLSCE, WARSZAWA.

Królowie śmiechu



Świetny groteskowy komik amerykański, Buster Keaton, któremu zawdzięczamy tyle wesołych filmów (Fot. Estefilm)



Roskoszna Mary Pickford w groteskowej roli kuchareczki w kłopocie (Fot. Estefilm)



...Poznaliśmy ich odrazu, naszych największych ulubieńców filmowych: Chaplina i „brzdąca" Jackie Coogana...

A oto rywal Chaplina, Buster Keaton, pod dwiema postaciami depcze kulę ziemską (Fot. Estefilm)



Mały „Bobuś", zastępca Jackie Coogana, już teraz chce służyć swej amerykańskiej ojczyźnie (Fot. Kolos)



Nasi dobrzy znajomi — mały i gruby Pat i wysoki Patachon w ostatnim swym filmie (Fot. Kolos)



Wydawnictwo „7 DNI" ogłaszając w druku poniższą, najnowszą i specjalnie dla nas napisaną powieść utalentowanego pisarza, p. Stanisława Strumph-Wojtkiewicza, pozostawia P. T. Czytelnikom znalezienie do niej najodpowiedniejszego tytułu i w tym celu ogłasza odpowiedni konkurs z nagrodą 1000 zł. W skład sądu konkursowego wchodzą pp.: Juljan Eysmond, Juljusz German, Wacław Grubiński, Marjan Hemar, Tadeusz Kończyc, Jan Piotrowski, oraz autor tej powieści.

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Hala Liwska ukończyła pensję. Zaczyna wchodzić w życie. Otoczona rojem młodych ludzi, zaczyna zastanawiać się nad wielome dotychczas obojętnemi dla niej sprawami. Wypadkowe spotkanie i początek flirtu z Arturem Zaliwskim, otwierają przed nią nowe horyzonty. Młody człowiek pozuje na zrozpaczonego, pozbawionego celu w życiu. Hala więc postanowiła mu dopomóc. Nić romansu nawiązana. Wtem, niespodziewanie, oświadcza się o Halę stary p. Woyno. Tego samego dnia — nowa „bomba" wybucha, bo ów kuzynek Staś, złapawszy Zaliwskiego na gorącym uczynku pocałowania Hali, zdradza zachowaniem swem, że i on kocha dziewczynę, co jej zresztą nazajutrz wyznaje. Kochają ją... Flirt Hali z Zaliwskim zaczyna zwracać powszechną uwagę. Papcio nalega, by Hala przyjęła propozycję Woyny. Ostrzeżenia na temat Zaliwskiego zaczynają trafiać dziewczynie do przekonania, zwłaszcza, że i jej samej nie podoba się poufałość młodego człowieka. Hala coraz częściej przebywa w towarzystwie koleżanki Aliny, śmiałej i nowoczesnej panny. Młode panny odwiedzają dawną koleżankę, Molińską, która prosto z pensji wyszła w świat, a właściwie... w półświatek. W jednym z albumów Molińskiej znajdują ze zdziwieniem fotografje całego szeregu znajomych, a pomiędzy innemi i Reńskiego, opiekuna i przyjaciela Zaliwskiego. Halina popada w coraz głębszą rozterkę duchową, zwłaszcza, że życie otwiera przed nią cały szereg trudności i kłopotów, z któremi ludzie muszą się borykać na drodze do szczęścia. Oto po zerwaniu z Zaliwskim rozpoczyna się dla niej flirt z nowym, młodym człowiekiem, który papcio nazywa „okresem Steyra", stara się dopomóc koleżance swojej Jadce, rozpacza, iż kuzynek Staś zakochał się w czarnej Alinie, aż wreszcie, zapoznawszy się z kłopotami finansowemi Zaliwskiego, pożycza od ojca większą kwotę pieniędzy, by móc go uratować. Coraz brutalniejsze zetknięcie się z prawdą życia wywiera na dziewczynie przykre wrażenie. Miłość nawet, którą sobie dawniej idealizowała, wiele traci uroku w interpretacji czarnej Aliny. Zaliwski odnosi część pożyczonych pieniędzy. Zdobywa sobie zaufanie papcia i korzysta z tego, aby znowu odwiedzać dom Liwskich. Znów powtarzają się dziwne konkury do Hali, w których jednak mowy niema o... miłości. Wiedziona instynktem Hala postanawia wyjechać i udaje się na wieś, do koleżanki Zośki, gdzie pierwszego już wieczora spotyka Reńskiego.

(13)

— Oj Halu, Halu — nie myśl tak dużo o Reńskim — bo ani się obejrzysz, jak wpadniesz — Reński to typ donżuana.

Nie, Hala stanowczo nie godziła się na to. Wiedziała już kim jest Reński. Wiedziała nie z pogłosek i nie z tego, co mówili wszyscy znajomi Reńskiego — zupełnie go zresztą — zdaniem Hali — nie znający. Rozumieć Reńskiego może tylko serce — serce Hali. A czyż serce może kłamać, lub mylić się?

Hala wierzyła w swe serce jak w wyrocznię — a serce coraz mocniej pulsowało wiarą w Reńskiego, zaufaniem, miłością, współczuciem. Wszystko to było zapewne przesądzone z góry i oddawna; od chwili, w której poraz pierwszy go zobaczyła, jako „prawdziwego mężczyznę", stojącego w oknie wagonu. Jeśli Reński żyje szeroko i bujnie, to dlatego, że jest nieszczęśliwy w małżeństwie: wspominał przecie, że żona jego woli bawić się zagranicą — niż nudzić się w Niechcicach albo w Warszawie. Czysta warjatka — albo kobieta zła: jakże bowiem można — mając takiego męża — nie być przy nim nieustannie? Hala była zdania, że żona, która choć na kilka dni opuszcza męża, nie jest warta szczęścia i miłości. Czyż w przysiędze nie jest powiedziane: „nie opuszczę cię aż do śmierci". Więc jakże można opuszczać męża choć na chwilę? Należy być przy nim ciągle. Reński jest biedny — bo jest samiutki. Być może, że pociesza się trochę lekkomyślnie w tem swojem nieszczęściu i samotności, ale to dlatego, że brak mu kierunku — i że jest za przystojny — i kobiety nie dają mu spokoju.

Tak — Reński, a raczej pan Ala, bo tak go nazywano — pan Ala jest śliczny, zręczny i silny, a zarazem wytworny i delikatny; stanowczy — ale subtelny; mądry — ale wesoły. Jest podobny do Valentina, tylko daleko piękniejszy. Główka Hali dostaje aż zawrotu, gdy myśli o tem wszystkiem.

— Stanowczo jestem zakochana — i niema w tem nic złego. Jemu o tem nie powiem nigdy. Będę go kochała całe życie — i nie wyjdę zamąż, a poświęcę się pracy społecznej tak jak Anna Steyr także, która była zakochana nieszczęśliwie?

Hala jest dumna z siebie; być nieszczęśliwie zakochaną — to rzecz rzadka, szacowna, zdarzająca się wybranym. Hala jest szczęśliwa z tego powodu, że jej miłość stanowczo nie należy do szczęśliwych — bo Reński jest żonaty. Gdyby tak jednak udało się coś niesłychanie wielkiego popełnić dla szczęścia pana Ali?

Naprzykład — pojechać do pani Reńskiej:

— Tak — odpowiada sucho osoba, podobna do pani Maszkowej z „Rodziny Połanieckich" (tak sobie Hala wyobrażała żonę pana Ali).

— Pani musi wrócić do męża — żądam tego od pani — nie wolno być egoistką i myśleć tylko o sobie.

— Doprawdy dziwne pretensje — a cóż panią łączy z moim mężem, że tak pani zależy na jego szczęściu — odpowiedziałaby z przekąsem pani Reńska.

Potem jednak Hala przekonałaby ją i przywiozła do Reńskiego i pan Ala byłby szczęśliwy dzięki Hali: czyż nie byłoby to wspaniałe?

Jeszcze inna możność: pani Reńska wpada do Śródziemnego morza i topi się. Pan Ala rozpacza po niej ogromnie — i tylko dzięki opiece Hali przychodzi do siebie. Oświadcza się Hali — ale Hala nie przyjmuje: nie chce szczęścia dla siebie — chce go tylko dla Reńskiego...

Tak więc powoli pojęcie osobistego szczęścia poczęło się w Hali kojarzyć z życiem i osobą „prawdziwego mężczyzny".

Tymczasem chodziły w pole brony — na cienką powłokę śniegu, żeby nie pozwolić oziminom na „wyprzanie" jak mówił pan Alojzy, a w tydzień potem, po odmarzniętej już glebie, poszły w ciężkim trudzie zaprzęgi pługów, krających ziemię pod zasiewy wiosenne. Z Niechcic wiadomości nie było, prócz tej, że starszy pan, zięć Reńskiego, przyjechał tam niespodziewanie z jakąś obcą panią, która do południa leży w łóżku, a po południu śpiewa przy fortepianie. Wiadomości te przywiózł nie kto inny, lecz pan „Pozwolęsobie" we własnej osobie. Zjawił się linijką dworską — wyelegantowany, w białych zamszowych rękawiczkach, pod pretekstem pożyczenia książek dla obcej pani, od panny Zofji. Pan Pozwolęsobie poszedł potem daleko w pole, aż tam, gdzie za pracującymi pługami skakała po skibach razem z wronami upaplana w błocie i rozmarzona Hala. Wydawało się jej, że wróciła do Mormołówki i jak dawniej „gospodaruje" z papciem.

— Pozwolę sobie powitać panią.

— A — to — pan tu? Dzień dobry.

— Pięknie mamy dziś — proszę pani.

Hala dyplomatycznie umilkła.

— Pozwolę sobie pożegnać panią.

Pocałował w rękę i odchodząc obejrzał się kilka razy zalotnie i natrętnie. Popsuło to nastrój.

— Patrzył tak, jakby mi wzrokiem chciał związać nogi — myślała Hala. Pan Pozwolęsobie przestał ją bawić od tej chwili.

— Chętniebym dała mu nauczkę! Że też taki śmie... Drugi Zaliwski! Jakże im — i wogóle wszystkim innym mężczyznom daleko do pana Ali! Nawet i Steyrowi, choć Steyr bez wątpienia...

Od Steyra była właśnie karta z widokiem Jungfrau. Steyr pisał, że prawdopodobnie na parę lat zostanie zagranicą dla odbierania różnych maszyn i motorów dla Polski — i że niezmiernie miłe mu są te chwile, które przed samym wyjazdem spędził w Warszawie. Aluzja wyraźna.

Dobrnąwszy do domu, Hala zastała niespodziankę. Czarny samochód stał przed domem. Reński wyszedł na spotkanie i wziął obie rączki zdyszanej i wzruszonej Hali.

— Witamy — witamy — mówił.

— Ach — dzieńdobry — zmęczyłam się — niech pan puści.

— Właśnie, że nie puszczę.

— Kiedyś przecież pan puści.

Reński pochylił się.

— Nigdy — słyszy pani — nigdy nie puszczę.

Z łomocącem sercem tak trudno prowadzić rozmowę pustą, spokojną i opanowaną!

— Zośka — zabierz sobie pana Alę.

— Mam dość jednego! Halu czy wiesz? Oni podobno nie spali ani jednej nocy.

— Graliśmy i śpiewaliśmy — śmiał się Reński, patrząc wesoło na Władka Sokołowskiego.

— Z masonami i... masonkami — powiedział nieco zachrypnięty pan Władek — same masony w tej Warszawie. — Panie Alojzy — pan też jest mason — tak — pan jest mason.

— Ale pamiętaliśmy o pani. Telefonowałem do pani ojca, że jest okazja — i przysłał te listy dla pani. A to — od nieznanego wielbiciela.

Olbrzymi bukiet szkarłatnych róż umieszczano właśnie w wazonie.

— Wszystko dla tej Hali — skarżyła się Zośka.

— O nie: proszę bardzo.

Obiad upływał wesoło, poczem Zośka wzięła się do przywiezionego przez Reńskiego romansu, a Hala przejrzała listy. Był list od papcia. Rzecz dziwna — list był suchy i nieszczery. Papcio radził szanować się i poprawiać — i całował i polecał opiece Boskiej — ale tchnął surową, obrażoną naganą, ukrytą wśród równych wierszy i serdecznych słów. A może to smutek? Może w domu coś się stało? Może Stefcia chora — albo i sam papcio?

— Ja jestem przecież w zupełnem porządku i nic nie mam na sumieniu — literalnie nic.

Coś poruszyło się w zakamarkach wspomnień — ale tak słabo, tak niewyraźnie... Dzień dzisiejszy, którym Hala żyła, był jasny, promienny, bezgrzeszny!

— Halineczka posmutniała? złe nowiny? cóż takiego?

Hala poważnie spojrzała na Reńskiego.

— Nie, panie Alu. Ale — chciałabym być już w domu.

— Czy chory kto?

— Nie — ale chciałabym wiedzieć i widzieć sama, co się tam dzieje.

— Nic łatwiejszego. Wyjechać zaraz ze mną autem. Przenocować — i powrót? Chce pani, panno Halu?

— Czy chcę?

Podwójna radość: zobaczyć papcia i dom — i podróżować z panem Alą!

— No — jedziemy więc.

— Ale jakto? — teraz?

Reński obliczył: o ósmej wieczorem, najpóźniej o dziewiątej będą na miejscu.

— Przed moim domem, panie Alu?

— A jakże inaczej.

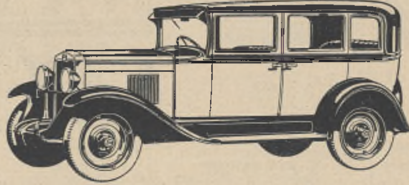
Hala wahała się.

— Jedź Halu — powiedziała Zośka — skoro masz przeczucie — to jedź — może to konieczne. Ale nie uciekajcie czasem za granicę...

Pogroziła palcem panu Ali.

W kwadrans później na miękich poduszkach wozu, wśród pledów, kwiatów i dyskretnego zapachu benzyny, Reński opowiadał Hali o Zaliwskim.

(d. c. n.)



6-cio cylindrowy samochód w cenie wozów 4-ro cylindrowych

Epokowy CHEVROLET *w historji Chevroletów*

Silnik o zwiększonej o 32,6% mocy, większa szybkość, błyskawiczna akceleracja, przesuwalne siedzenia, nowe ulepszenia konstrukcyjne, mimo 6-ciu cylindrów mniejsze niż dawniej zużycie paliwa—oto zalety, dla których nowy Chevrolet w swej klasie wozów jest najtańszym samochodem w świecie. Na żądanie chętnie służymy bliższemi informacjami oraz próbną jazdą.

UPOWAŻNIONE ZASTĘPSTWO

„Elibor"

SPÓŁKA AKCYJNA HANDLOWO-PRZEMYSŁOWA

„Ł. J. Borkowski"

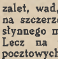
Warszawa **Plac Napoleona 1**

TEL. 123-60, 422-22.

ODDZIAŁY: CZĘSTOCHOWA Panny Marji 14 | KIELCE Sienkiewicza 34 | LUBLIN Krak. Przedm. 41 | RADOM Piłsudskiego 1

Wągry najskuteczniej usuwa płyn **Vesta** *Perfumerie d'Orient - Warszawianka*

PRZYJDŹ OSOBIŚCIE



albo nadeślij charakter pisma swój lub zainteresowanej osoby. Zakomunikuj imię, rok i miesiąc urodzenia, kawaler, żonaty, wdowiec, ilość osób najbliższej rodziny, a otrzymasz szczegółową analizę charakteru, określenie zalet, wad, zdolności i przeznaczenia. Odpowiedzi na szczerze zadane pytania, jak również horoskop słynnego medjum, M'lle Evigny — bezinteresownie Lecz na pokrycie kosztów ogłoszeń, wydatków pocztowych i kancelaryjnych dołączyć zł.2.— (można w znaczkach pocztowych). Osobiście przyjmuję 12 — 7. Protokóły, odezwy, podziękowania najwybitniejszych osób stolicy do sprawdzenia — *Warszawa, Psycho-grafolog, Szyller-Szkolnik, Redakcja „Świt" Nowowiejska 32 m. 6.*



NARAZIE MACIE JESZCZE ZĘBY ZDROWE

o ile jednakże nie będziecie ich racjonalnie pielęgnować, będą one się stopniowo psuły, co spowoduje straszne cierpienia. Przeciwdziałajcie temu. Wystarczy kilka kropel Odolu w szklance ciepłej wody. Płukajcie tem należycie i czyśćcie gruntownie po każdem jedzeniu zęby pastą Odol — oto najlepszy sposób pielęgnowania jamy ustnej i zębów.

Siwiznę usuwa farba do włosów **Juvenol** *Perfumerie d'Orient - Warszawa*

ŻYCIE PŁCIOWE!

10 ciemnych i pożytecznych książek tylko za zł. 5.—1 Dr. Müller: „Najnowszy lekarz domowy"; 2) Dr. Braun „Samogwałt u mężczyzn i kobiet"; 3) Dr. Gelsen „Hygjena miodowych miesięcy"; 4) Dr. Surhled: „Sekretne sposoby małżeńskie"; 5) Dr. Korabiewicz „Choroby wenerycznie" i 5 innych ciekawych i pożytecznych książek tylko za zł. 5.— Wysyłamy za gotówkę lub za zaliczką pocztową na wydatki załączyć zł. 1.30 (można w znaczkach pocztowych). — Warszawa Red. „Świt", Nowowiejska 32 m. 6.



7 DNI NASZEGO CZYTELNIKA

Czego słuchać przez radjo?

Poniżej podajemy szanownym czytelnikom wyciąg ciekawszych audycyj radjopolskich stacyj nadawczych na najbliższy tydzień.

W dziale muzycznym.

Niedziela, dnia 21.IV. godz. 12.10. Transmisja Koncertu z Filharmonji warszawskiej poświęconego utworom Czajkowskiego. Jako soliści wystąpią: Alina Wohlmanówna (fortepian) i Stanisław Tawroszewicz (skrzypce). Godz. 15.15. Transmisja z Filharmonji warszawskiej koncertu muzyki organowej w wykonaniu księdza Józefa Messnera, kapelmistrza katedralnego w Salzburgu. Solo na skrzypcach odegra prof. Jan Dworakowski.

Poniedziałek, 22.IV. godz. 20.30. Transmisja koncertu wieczornego z Krakowa. Wykonawcy: chór tow. śpiewaczego „Echo", 12-letni pianista Tadzio Serafiński oraz Stanisław Siwik (tenor).

Wtorek, 23.IV. Godz. 17.55. Muzyka baletowa. Godz. 19.20. Transmisja z teatru Polskiego w Katowicach opera „Bal Maskowy" Verdiego.

Środa, 24.IV. godz. 17.55. Koncert z udziałem prof. Konstantego Heinze.

Czwartek, 25.IV. godz. 17.55. Koncert solistów. Udział biorą: Zofja Thurschowa (śpiew), Zofja Ossendowska (skrzypce), Jadwiga Zaleska (fort.) i prof. Ludwik Urstein (akomp.).

Piątek, 26.IV. godz. 17.55. Koncert muzyki lekkiej w wykonaniu orkiestry teatru „Morskie Oko" pod dyrekcją Stanisława Nawrota. Godz. 20.15. Transmisja koncertu symfonicznego z Filh. warszaw.

Sobota, 27.IV. godz. 20.30. Operetka w 3-ch aktach Cnypersa i Carsiniusa „Bachantka". Role naczelne wykonają Zofja Karlińska i Adam Dobosz.

W dziale literackim. Niedziela, 21.IV. godz. 18.20. Audycja ludowa literacko-muzyczna p. t. „Wiosna nastaje". Godz. 21.00. „Kwadrans literacki" p. Tad. Boeheński odczyta frgm. z Norwida. Wtorek, 22.IV. 18.35. Transmisja recytacyj poetyckich z Krakowa, w wyk. Haliny Starskiej art. Teatru im. Słowackiego. Środa, 23.IV. 21.30. Literacki występ autorski Kornela Makuszyńskiego. Czwartek, 25.IV. godz. 21.15 Transmisja słuchowiska z Krakowa.

W dziale odczytowym: Poniedziałek, 22.IV. godz. 17.25. Dr. Tadeusz Wiśniewski wygłosi odczyt p. t. „O wyprawie bałkańskiej prof. Ludomira Sawickiego". Wtorek, 23.IV. godz. 17.00. p. Tadeusz Maltze wygł. odczyt p. t. „Sport akademicki w Polsce". Środa, 24.IV. godz. 17.00. Prof. Stanisław Szober wygł. odczyt p. t. „Z życia wyrazów czyli zmiany zasobu głoskowego i zmiana budowy wyrazów". Czwartek, 25.IV. godz. 15.10. Sędzia sądu apel. p. Bronisław Bittner wygł. odczyt p. t. „Sądy pracy". Piątek, 26.IV. godz. 17.25. Transmisja odczytu z Wilna. Sobota, 27.IV. godz. 19.10. p. Maksymiljan Weronicz wygłosi odczyt p. t. „Ze wspomnień zakładnika".

W dziale dziecięcym. Środa, 24.IV. godz. 12.10. Program dla dzieci wiejskich p. Henryk Ładosz opowie bajki wiosenne. Czwartek, 25.IV. godz. 16.00. słuchowisko dla dzieci z Krakowa p. t. „Smok wawelski". Sobota, godz. 17.00. Audycja dla dzieci. Słuchowisko pióra Marji Szpyrkówny. Część I. Program dla młodzieży p. t. „Kłótnia szkolnej orkiestry" część druga: Bajka dla najmłodszych „O kaczuszce złotobrzuszce".

7 DNI TEATRÓW, TEATRZYKÓW I KIN WARSZAWSKICH

TEATR NARODOWY
KRÓL STEFAN BATORY
Dramat w 8-miu odsłonach Stanisława Szpotańskiego.
Udział biorą: Ludwik Solski (Batory), J. Węgrzyn (Samuel Zborowski), W. Brydziński (Possewin), Halszka (Gryzelda Zamoyska), Dulęba, Bay Rydzewski, Szymański, Hryniewicz i w. innych. Reżys. L. Solskiego.

TEATR NOWY
Jerzy Szaniawski
Adwokat i róże
Komedja w 3-ch aktach
w rolach głównych: A. Zelwerowicz, H. Zaharska, L. Dunin-Osmólska, H. Gromnicka, J. Warnecki, W. Biegański i inni.
Reżyserja
ANT. ZELWEROWICZA.

TEATR LETNI
Panienka z Dancingu
Komedja w 3-ch aktach St. Krzywoszewskiego
w rolach głównych: M. Garczyńska, M. Chaveau, Solarski, Łuszczewski, Hnydzyński, Lenerówna, Dobrowolska, Fertner i inni.
Reżyserja
E. CHABERSKIEGO

TEATR POLSKI
Samuel Zborowski
dramat Ferd. Goetla.
w rolach głównych: Jerzy Leszczyński (Samuel), Junosza-Stępowski (Król Stefan Batory), L. Pancewiczowa (Gryzelda), Buszyński, M. (kanclerz Zamoyski), M. Jednowski (Jan Zborowski), Samborski (Krzysztof Zborowski).
Reżyserja Leona Schillera

TEATR MAŁY
Miłość bez grosza.
Komedja
Stefana Kiedrzyńskiego
W rolach głównych: Malicka, Junosza-Stępowski, Grabowski, Czaplińska, Fritche i Wesołowski.
Reżyserja
STANISŁAWSKIEGO

QUI PRO QUO
„Jubileusz Q.P.Q."
wielka rewja aktualna w 18 obrazach. Napisali: Dwaj panowie A.
W programie:
„Księżyc", „Na rogu Brackiej i Trębackiej", „Najsłodszy całus", „Grajek i dziewczyna", „Mary Ann", „Jak ja jem", „Mnie się nie wolno irytować".

Apollo i Filharmonja: „Policmajster Tagiejew" wg. powieści Gabrjeli Zapolskiej z Marją Bogda, Norą Ney, Bogusławem Samborskim, Zbyszko Sawanem i Jerzym Marrem.

Colosseum: „Całuję twoją dłoń, Madame", z Harry Liedtkem.

Casino: „Intrygant" z Emilem Janningsem.

Capitol: „Tancerka" z Dolores Del Rio.

Hollywood: „Matka, czy córka?" z Diną Grallą.

Palace: „Kochanka Rozwolskiego" z Brygidą Helm.

Pan: „Tancerka" z Dolores Del Rio.

Rococo: „Człowiek z biczem" z Douglasem Fairbanksem.

Wodewil: „Robert i Bertrand" z Harrym Liedtke.

Światowid. „Portjer hotelu Atlantic" z Emilem Janningsem.

Quo Vadis: „Intrygant z Emilem Janningsem.

MORSKIE OKO
1000 pięknych dziewcząt
Rewja w 20 obrazach
W programie:
„Dziewczę z Wirginji", „Złota pastera", „Najpiękniejsze wahlarze świata", „Ulica rozkoszy", „Żywy tren", „Flirt o północy", Przegląd tualet karnawałowych", „Kulig na Starem Mieście".

LOSOWANIE KONKURSOWE DRUGIEJ CENNEJ PREMJI „7 DNI"

która tym razem stanowił wspaniały

ODKURZACZ ELEKTRYCZNY FIRMY „PROTOS"

odbyło się w myśl zapowiedzi, dnia 15-go kwietnia r. b. o godz. 18-ej w magazynach firmy „Protos" przy ul. Nowy-Świat 32 w Warszawie, pod kontrolą p. notarjusza Różyckiego i w obecności przedstawicieli Wydawnictwa „7 Dni", Firmy „Protos", oraz Czytelników, biorących udział w tym konkursie, którzy wyłonili z pośród siebie komisję kontrolującą. Na ogólną liczbę ponad dwa tysiące zgórą rozwiązań, nadesłano w terminie przepisanym 840 dobrych rozwiązań, opatrzonych specjalnemi kuponami konkursowemi „7 Dni".

Zgodnie z warunkami konkursu, wszystkie inne rozwiązania, nadesłane bez tych kuponów, zostały uznane za nieważne i nie wzięły udziału w losowaniu.

Los uśmiechnął się tym razem Czytelnikowi „7 Dni" z bohaterskiego miasta Lwowa. Wielka premja konkursowa „7 Dni" w postaci odkurzacza elektrycznego firmy „Protos" przypadła w udziale

W. P. Drowi STANISŁAWOWI NAHLIKOWI WE LWOWIE
zamieszkałemu przy ul. Zielonej Nr. 57.

W następnym (14-ym) numerze podamy szczegółowe wyniki losowania

STU CENNYCH PREMIJ „7 DNI" W POSTACI STU FLAKONÓW FRANCUSKICH PERFUM „CORYSE".

Losowanie odbyło się dnia 16-go b. m. w nowym lokalu wyd. „7 Dni" przy ul. Marszałka Focha (dawn. Nowosenatorskiej) 2 w Warszawie.

KALENDARZYK TYGODNIOWY

21 N. Anzelma.
22 P. Sotera i Kaja.
23 W. Wojciecha.
24 Ś. Fidelisa.
25 C. Marka.
26 P. Kleta i Marceliny.
27 S. Teofila.

KALENDARZYK ASTRONOMICZNY

S. w.	S. z.	K. w.	K. z.
4.27	18.42	16.17	4.27
4.25	18.43	17.32	4.39
4.23	18.45	18.48	4.52
4.21	18.47	20.03	5.04
4.19	18.48	21.19	5.10
4.17	18.50	22.32	5.31
4.15	18.51	23.40	6.03

KALENDARZYK HISTORYCZNY

21.IV 1118 r. — poświęcenie katedry w Krakowie.

23.IV 997 r. — męczeńska śmierć św. Wojciecha.

25.IV 1333 r. — koronacja króla Kazimierza Wielkiego w Krakowie przez Janisława arcybiskupa gnieźnieńskiego.

26.IV 1684 r. — wojsko austrjackie atakuje Kraków.

27.IV 1831 r. — Dwernicki przekracza granicę austrjacką pod Chlebanówką i składa broń.

KALENDARZYK SPORTOWY

21.IV Warszawa: godz. 11-ta kobiecy bieg na przełaj na 1200 mtr. w Grochowie; godz. 12-ta drużynowy doroczny bieg naprzełaj o puhar magistratu m. st. Warszawy.

21.IV Kraków: doroczny Nadwiślański bieg naprzełaj.

NOTATNIK AKCJONARJUSZA

Walne zebranie spółek akcyjnych w kwietniu.

Dn. 2. Starzycka manuf. Dywanów w Tomaszowie Mazow., o 16, nadzwycz., ul. Główna 5, nadzwycz., o powiększ. kapit., wybory nowego zarządu.

Dn. 4. Magister Klawa, o 16, biuro s-ki, ul. Karolkowa 22, zatw. bilansu i kupna nieruch., wybory.

Pruszków, zakl. lecznicze, zebranie w Warszawie, lok. ul. Złota 61, o likwidację s-ki.

Sommer i Nower, pruszkowska fabryka ultramaryny, o 6 w., kancel., adw. Kuratowskiego, ul. Trębacka 10, o akceptację aktów hipotecz., sprawozd., wybory.

Zjednoczone ziemiańskie mleczarnie, o 11, lok. wł. ul. Ceglana 14, zatwierdz. bilansu przerachow.

Kluczewska fabr. papieru, o 17 nadzwycz. lok. zarz. ul. Moniuszki 4, podwyż. kapit., kupno gruntów, pożyczkę obligacyjną.

Konopie, nadzwycz., o 17, biuro komisji likwidacyjnej, ul. Sienkiewicza 8, zatwierdz. bilansu przerachow.

Dn. 5. Bank handlu i przemysłu mięsnego, o 19, Praga, ul. Jagiellońska 12, sprawozd., wybory.

Związek producentów ryb, nadzwycz., o 11 rano, lok. wł. ul. Rybaki 8, zatwierdz. bil., przerachow.

Dn. 6. Eugenjusz Becker i Sp., białostocka manuf., gmach resursy obyw., ul. Krak. Przedmieście 64, o 17, sprawozd. zmiana statutu.

Fornarina, fabr. mydeł i perfum, o 17, biuro fabr., ul. Belwederska 2, sprawozd.

Dn. 7. Bank handlowo-przemysłowy, o 16, w. Włocławku, lok. banku, ul. Cyganka 19, sprawozdanie, wybory.

Dn. 8. Adam Klimkiewicz, wytwórnia instr. muzycznych, o 18, lok. zarz. ul. Chmielna 66, zmiana nazwy firmy, wybory.

Leśmiera, tow. przemysłowe, nadzwycz., w Łodzi, ul. Targowa 63, o 15, sprzedaż gruntu, pożyczka hipot., emisja obligacji.

MENU TYGODNOWE

Niedziela
Rosół „julienne". Grzanki z serem ostrym. Szpinak z omletem. Polędwica, sos madernowy, kartofelki „frites". Galareta pomarańczowa.

Poniedziałek
Rosół w filiżankach (wzmacający). Warmiszel zapiekany w muszelkach. Forszmak (z mięsa z rosołu). Kwaśna śmietana do niego. Kompot z suszonych śliwek.

Wtorek
Kaszka manna z zielonym koperkiem. Kotlety wieprzowe bulwa włoska. Budyń z sera, sos waniljowy.

Środa
Zupa ogórkowa zabielana. Mostek cielęcy, nadziewany, marchewka z groszkiem. Wafle kruche z konfiturami.

Czwartek
Barszczyk z uszkami z mięsa. Zrazy Litewskie zwijane z kaszy hreczanej. Jabłka pieczone, nadziewane migdałami.

Piątek
Zupa rybna czysta z pulpetami. Szczupak smażony „Orly", zielona sałata. Kisielek żurawinowy.

Sobota
Rosół z cielęciny. Ryż zapiekany z serem. Potrawka z cielęciny, sos pieczarkowy. Suflet czekoladowy z mlekiem lub śmietanką.

BUDYŃ ZE SZPINAKU

Kilo szpinaku starannie przebranego wrzucić na osolony wrzątek, odcedzić, przepuścić przez maszynkę wraz z dwoma bułeczkami (warszawiankami) wymoczonemi w mleku. Pokrajać drobno dwadzieścia deka przerastałej szynki lub golonki. Łyżkę masła zasmażyć z łyżką mąki, nie rumianego. Rozprowadzić dwoma szklankami mleka zimnego, zagotować razem. Sos ten powinien być gęsty, jak bechamel. Zmięszać z tym sosem szpinak, szynkę, trzy żółtka surowe, wymięszać dobrze, osolić do smaku. Dodać trochę białego pieprzu lub gałki muszkatułowej. Formę budyniową wysmarować masłem i wysypać bułeczką. Pozostałe trzy białka ubić na sztywną pianką, zmięszać ze szpinakową masą. Przełożyć wszystko do formy, nakryć pokrywą i gotować półtorej godziny w drugim rondlu z wodą. Wstawić formę do wody gotującej się. Woda powinna dochodzić do połowy formy. Podając wyłożyć na półmisek i polać obficie masłem zrumienionem z bułeczką.

Jak mówią zwierzęta

Dar mowy jest jednym z nieocenionych skarbów ludzkości. Ileż radości i szczęścia odczuwamy, słysząc szczebiot swych dzieci! Jakąż dumą napełnia serce matki nieudolnie wypowiedziany pierwszy wyraz jej dziecka! Ileż roskoszy dają nam: piękna gra artystów na scenie, mowy złotoustych kaznodziei, pouczające odczyty, śpiew i deklamacja. Gdyby nie dar mowy nie usłyszelibyśmy z ukochanych ust wyznań miłosnych, ani słodkich przysiąg. Życie straciłoby dla nas wiele ze swego uroku. Ludzie staliby się automatami, wykonywującymi jedynie czynności nakazane im przez prawa natury, bez zdolności przekazywania swych uczuć, myśli, idei. Świat niemych byłby koszmarem martwej pantominy.

Obok ludzkości, szczycącej się tym drogocennym darem przyrody — mową — istnieje druga społeczność — zwierzęta — wielekroć razy przewyższające liczbę ludzi na ziemi. Zwierzęta również wydają dźwięki, które uważane są przez ludzi za ich własną mowę. Dźwięki te, tak charakterystyczne dla każdego gatunku społeczności zwierzęcej, służą jej również dla wyrażania swych uczuć i potrzeb.

Poznanie mowy zwierząt oddawna zaprzątało umysły uczonych. Długie i mozolne ich badania oraz obserwacje zwierząt doprowadziły do wniosku, że poznanie mowy zwierzęcej będzie mogło liczyć na powodzenie jedynie przy zastosowaniu metody „uczłowiecznienia" zwierząt.

Pierwszy wpadł na tą myśl profesor dr. Szmid z Monachjum. Badaniom swym poświęcił niemal całe życie.

Metoda „uczłowiecznienia" zwierząt polega na przeprowadzaniu doświadczeń nad zwierzętami, posługującemi się dźwiękami, najbardziej zbliżonemi do mowy ludzkiej. Dr. Szmid zwrócił uwagę przedewszystkiem na zwierzęta posiadające krtań z poruszającym się w niej językiem. Temi doświadczalnemi przedstawicielami fauny były: kury, psy, żaby, gęsi, koty, świnie oraz pewne gatunki dzikiego ptactwa. Najbardziej podatnemi okazały się kury i psy — najbliżsi towarzysze ludzi, z którymi można się nawzajem *porozumieć*. Na wołanie człowieka pies zawsze przybiega, kładzie się, służy na dwuch łapach, rzuca się na wroga. Kury znają głos gospodyni i zbiegają się nieraz zdaleka na jej wołanie. Ponadto w szczekaniu psa można rozróżnić uczucia, jakie nim w danej chwili powodują, w gdakaniu kury, czy koguta — jaką w danej chwili spełnia czynność: kura ogłasza całemu światu, że ma zamiar znieść jajko, kogut zwołuje swój skrzydlaty harem do podzielenia się odkrytym przez siebie przysmakiem. Ileż to razy słysząc przeraźliwe wrzaski dwuch kogutów, wiemy, że się wzajemnie ostrzegają przed zbyt zuchwałem zbliżeniem się do swych towarzyszek — kur.



Kot przed mikrofonem

Przysłuchując się dźwiękom wydawanym przez psa lub koguta, możemy z łatwością odnaleść pewne podobieństwo do niektórych samogłosek i spółgłosek. W dumnym i krzykliwym pianiu koguta uwydatniają się głoski „k" i „u". Stąd powstało kogucie „kukuryku", przetłómaczone na język ludzki. Wyjący pies wydaje dźwięk zbliżony bardzo do głoski „u", szczekający zaś w złości do „w" i „r"

Dr. Smid postanowił zbadać mowę kur i psów metodą optyczno - porównawczą. Przy pomocy mikrofonu i bardzo czułej i skomplikowanej aparatury odfotografował dźwięki na filmie wydawane przez zwierzęta, otrzymując w ten sposób wykres drgań fal dźwiękowych. Następnie, naśladując samemu możliwie najlepiej mowę zwierząt doświadczalnych, otrzymał drugi film dźwiękowy, wydawany przez człowieka.

Okazało się, że krzywe drgań były do siebie zupełnie niepodobne. Wykres mowy zwierzęcej uwzględniał tyle zawiłości i najrozmaitszego napięcia skalę głosu, na jakie krtań ludzka nigdy nie mogłaby się zdobyć. Delikatny rysik aparatu notował kilka jednocześnie wydawanych przez zwierzęta dźwięków oraz całą gammę przydechów grających prawdopodobnie w mowie zwierzęcej duże znaczenie.

Doświadczenia te dokonywane wielokrotnie, przyniosły wreszcie niebylejają sensację. Oto okazało się, że zwierzęta tego samego gatunku pochodzące z różnych krajów, a nieraz z innych tylko miejscowości, mówią inaczej. Kogut pochodzący z Japonji wydawał krzyki, do których nie można było znaleść żadnego odpowiednika. W krzyku tym nie było śladu głoski „k", tylko jakiś nieartykułowany bełkot. Wykazała to również fotografja fal dźwiękowych na aparacie doświadczalnym, która zasadniczo różniła się od wykresu głosu koguta krajowego.

Powstała więc paradoksalna wprost i śmiała hipoteza, że zwierzęta, podobnie jak i ludzie, mówią różnemi językami. Twierdzeniem tem, napozór dziwacznem, można było wytłomaczyć wiele zaobserwowanych faktów z życia zwierząt domowych. Wpuszczenie na podwórze gospadarskie kur sprowadzonych z zagranicy, a nieraz tylko z miejscowości dalej położonej, wytwarza pewną rewolucję w światku kurzym. Nowoprzybyłe ptaki trzymają się przez pewien czas w oddzielnej gromadce, maltretowane przez dawne mieszkanki kurnika i podwórka, jak również i przez udzielanie panującego na podwórzu koguta. Dopiero po jakimś czasie następuje asymilacja i przyjęcie „cudzoziemców" do miejscowego kurzego społeczeństwa.

Tłomaczono to koniecznością oswojenia się z miejscowemi warunkami. Jednak doświadczenia przeprowadzone przez dr. Szmida wprowadziły tu nowy czynnik, brak znajomości „tubylczego" narzecza.

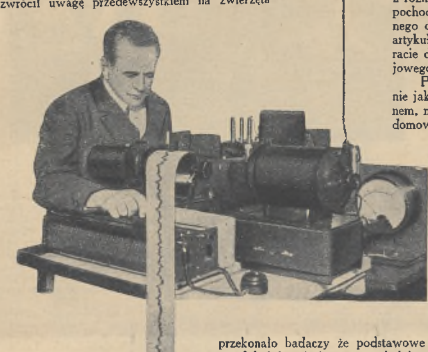
Porównanie głosu kur i kogutów przy pomocy wykresu na taśmie filmowej zostało sprawdzone również fonetycznie. Uważne wsłuchanie się w dźwięki piania kogutów pochodzących z rozmaitych krajów, przekonało badaczy że podstawowe dźwięki, mające swój odpowiednik w mowie ludzkiej, zmieniają się upodobniając się innym, względnie są niedouchwycenia zmysłem słuchu.

Ciekawe te spostrzeżenia są dopiero w stadjum początkowych badań, które mogą przynieść jeszcze ciekawsze rewelacje. Narazie zostało stwierdzone z całą pewnością, że zwierzęta porozumiewają się między sobą.

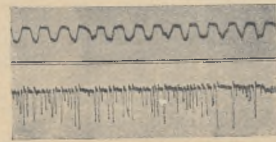
Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy sposobem i treścią przekazywania myśli pomiędzy ludźmi i zwierzętami. Mowa zwierząt pozbawiona jest jednego ważnego czynnika, bez którego staje się raczej instyktowną i odruchową. Czynnikiem tym jest pierwiastek twórczy. Pierwiastek ten, to piętno uduchawiające mowę ludzką. Pozwala ono ludziom działać i mówić w sprawach dotyczących polityki kultury, sztuki i religji. Bez tego ludzkość upodobniłaby się do społeczności zwierzęcej, myślącej jedynie o swych niezbędnych egoistycznych potrzebach.

Ludzie tworzyliby ów koszmarny świat mówiących — niemych, których mowa byłaby jedynie pantominą bezdusznych dźwięków.

Z. G.



Skomplikowany i nadzwyczaj czuły aparat, notujący z precyzyjną dokładnością na taśmie filmowej głos miauczącego kota



Głos psa (u dołu) i człowieka (u góry) na filmie

Pod znakiem piłki okrągłej

Kiedy przed rokiem w jakiejś zapadłej wioszczynie instruowałem gry sportowe, byłem świadkiem sceny, która mię najdobitniej w życiu przekonała — o magicznem działaniu na ludzką psychikę tego nadętego powietrzem kawałka skóry — popularnie piłką zwanego.

Niedzielne popołudnie pod jesień. Na ugorze, gdzie wypadła pierwsza lekcja piłki nożnej — oprócz przyszłych graczy — tłumy gapiów z całej wioski. Bo i któżby mógł pozostać w chałupie kiedy wiadomo na całą wieś, bo i przy kościele o tem już rano mówiono, że do miejscowego oddziału p. w. przyjechało dwuch „magików" z miasta — i różne rzeczy będą popołudniu wydziwiali. Przyszły więc na ugór obok zainteresowanej młodzieży, dziewczęta, baby i starsze chłopy, gęsto otaczając czapkami i chustami wytyczone boisko. A że dobrze miało się już pod jesień ten i ów z tubylców nosił już na grzesznem ciele kawałek kożucha.

Było też uciechy i krzyków co niemiara, kiedy to młodzi gracze swoje, a piłka znów swoje harce wyprawiała. Nie powiem, ile oderwano podeszew i ile rozkopano kretowisk — bo nie w tem dem tego chociażby Anglicy lub Amerykanie, którzy gry uważają za nieodzowną część wychowawczą swych ogromnych kolegjów, w których kształcą i życiowo urabiają swą młodzież — w przyszłości najdzielniejszych obywateli państwa. Abym nie był źle zrozumiany — dodam, że i nauka nie idzie w tym wypadku w kąt — jak to u nas często się zdarza. Młody uczeń nie może grać w swej drużynie chociażby był jej filarem — tak długo, dopóki nie zrobi odpowiednich postępów w nauce. To też przy takiej metodzie wychowawczej i wilk jest syty i owca cała.

Niewątpliwie nasze postępy w grach są poważne. Od czasu odzyskania Niepodległości zrobiliśmy duży krok naprzód.

Najpopularniejszym sportem u nas jest przecież piłka nożna wywodząca swe pochodzenie w swej pierwotnej formie z ogrodów jordanowskich w Krakowie, gdzie już w r. 1888 była grywaną. Angielską piłkę nożną w tej mniej więcej formie co dzisiaj, zaczęto uprawiać początkowo we Lwowie gdzie powstały pierwsze do dzisiaj istniejące nasze kluby: **Czarni, Pogoń** oraz **Lechja**. Za przykładem Lwowa poszedł Kraków, zakładając kluby **Cracovię, Mazura i Wisłę**. Pod zaborem rosyjskim i niemieckim pierwsze kluby powstały około 1908 roku.

Pierwszy Związek klubów polskich powstaje w r. 1911 — na terenie Małopolski — jako związek krajowy przynależny do austrjackiego Z. P. N. Związek ten jednak ze względów narodowych nie nicze zmiany. Wyłoniła się i doszła do skutku myśl założenia t. z. „Ligi" 13 najlepszych klubów, które rozgrywając, między sobą co roku mistrzostwo. System ten podniósł znacznie poziom gry, oraz daje klubom częstokroć niezłe dochody, a spotkania zyskały na sile atrakcyjnej. Najgorszy klub Ligi, corocznie wpada do kl. A., P. Z. P. N.'u, zaś mistrz kl. A wchodzi na jego miejsce do Ligi. Tegorocznym debjutantem Ligi jest krakowska „Garbarnia", która jako, że **nomen** jest **omen**, już kogoś ze starszych kolegów ligowych mocno wygarbowała...

Ale nie na tem się kończy w Polsce rola piłki okrągłej.

Dzięki niedawno przeorganizowanemu Związkowi Gier Sportowych, który opiekuje się takimi grami jak p. koszykowa; p. siatkowa oraz hazena (p. ręczna dla pań), całe rzesze młodzieży, zwłaszcza szkolnej i ze Stowarzyszeń Przysposobienia Wojskowego — zaczęły uprawiać z zamiłowaniem wyżej wspomniane gry.

Prymitywny sprzęt, oraz małe boiska, jakich te gry wymagają, wprowadziły je na rynek sportowy tak silnie, że dzisiaj mamy już całe masy tych młodych sekcyj nietylko męskich, ale i żeńskich. Na przeszkodzie stoi obecnie tylko brak większej liczby instruktorów, oraz sędziów, aby gry powyższe w całej Polsce rozkwitły nagminnie. Niewątpliwie, że gdybyśmy mieli w ewidencji ilość uprawiających te gry — piłka nożna ze swe-



„Hazena", jedna z najbardziej ulubionych gier kobiecych.
(Fot. R. Walter)



Interesujący moment z meczu piłki nożnej „Wisła" — „Legja"
(Fot. R. Walter)

rzecz. To co mię uderzyło i na parę godzin nabawiło doskonałego humoru, stało się po grze.

Nie wiem do dziś, jak piłka dostała się do widzów. Lecz kiedy na skutek jakichś dzikich krzyków obróciłem się, zobaczyłem jak może z pół wsi bez względu na wiek i płeć staczało morderczą walkę o piłkę, która od przypadku do przypadku wyprawiała dziwne skoki w tem rozbieganem i rozkrzyczanem towarzystwie, przybierając coraz wyraźniej jakiś wypadkowy kierunek w stronę przyległego do pastwiska lasu. Dognać i kopnąć piłkę z całej siły — oto jedyny cel pędzącego za nią tłumu. Walka o piłkę stawała się z sekundy na sekundę gorętsza. Młodsi chłopcy odsadzili już zupełnie dziewczęta — które z rozmierzwionemi włosami, rozpalonemi oczami i zadyszką — dały za wygranę.

Starsi chłopi dawno pozrzucali kożuchy by dorównać młodszym. I nie wiem jak długo trwałaby ta dzika gonitwa, gdyby na szczęście nie las, który położył kres tej bezładnej i zapamiętałej walce, oraz i wywiązanym po drodze bójkom, nagle obudzonych z długiego letargu — wrodzonych każdemu człowiekowi instynktów walki i ruchu. Instynkt ten widziałem w najczystszem, najnaturalniejszem chłopskiem wydaniu!

Piszę o tem dlatego, żeby wyjaśnić Czytelnikom „7 Dni", gdzie leży właśnie sedno rzeczy i dla czego w nowoczesnem wychowaniu fizycznem młodzieży tak ogromną zwracamy uwagę na gry sportowe.

Gry te starszemu pokoleniu wydają się plagą i istną stratą czasu. Że tak nie jest, dowobierze udziału w mistrzostwach Austrji. Na terenie Poznańskiego polskie kluby zrzeszają się w r. 1912.

Polski Związek Piłki Nożnej w dzisiejszej formie istnieje od r. 1919 z pierwszą siedzibą w Krakowie, a od r. ub. w Warszawie. Od czasu założenia związku — rozrost piłki nożnej idzie szybkiemi skokami naprzód.

Kiedy w r. 1920 — związek liczył 36 klubów i 485 graczy, późniejsze lata przynosiły następujące cyfry: 1921 — 126 — 2.397, 1922 — 280 — 6.273, 1923 — 402 — 11 352, 1924 — 520 — 17.588, 1925 — — 523 — 23.501, 1926 — 515 — 27.000, 1927 — 548 — 25.850, 1928 — 595 — 27.370. Nie są tu naturalnie brani pod uwagę piłkarze niezrzeszeni — gdyż razem z temi ilość kopiących w małych klubikach wzrosłaby pewnie do 60.000 graczy. Mamy również poza sobą 37 spotkań międzynarodowych, z których często wychodziliśmy obronną ręką. Naszemi najgroźniejszemi przeciwnikami, za wyjątkiem Ameryki Północnej — z którą niepotrzebnie przegraliśmy dwukrotnie byli: Szwedzi, Węgrzy i Czesi. Przegranej z U. S. A. nie można brać na serjo, gdyż ta sama ich jedenastka, która zwyciężyła naszą reprezentację państwową, potrafiła przegrać z Łodzią i Poznaniem w stosunku wyraźnie o ich klasie mówiącym, 7:0 czy też 6:0.

W spotkaniach międzypaństwowych z Estonją i Finlandją, Norwegją i Turcją, dotychczas wygrywaliśmy. Z Rumunją, która dysponuje byłemi dobremi graczami węgierskimi z Siedmiogrodu — remisowaliśmy trzykrotnie.

W r. 1928 zaszły w łonie P. Z. P. N. zasadmi 60 tysiącami grających musiałaby liczbowo skapitulować! Naturalnie, że gry te nigdy nie będą miały tego wzięcia pod względem ilości widzów co p. nożna. Jeśli jednak chodzi o część wychowawczo - sportową życia naszej młodzieży czy to szkolnej czy też stowarzyszonej w związkach P. W., odgrywają one rolę decydującą. Bo przecież mały kawałek gruntu czy też nawet podwórka szkolnego będą mogły już posłużyć za teren gier.

Kończąc, dodam, że w dziedzinie gier sportowych mamy w Polsce jeszcze b. dużo do zrobienia. Wystarczy wspomnieć, że Niemcy mieli np. w p. nożnej w r. 1927 6683 klubów z 873.874 członkami. Nie może się tem poszczycić Francja, mająca w r. 1927 3535 klubów z 250.000 członkami.

Najciekawsze jednak to, fakt że **Deutscher Fussball-Bund** posiada w liczbach powyżej podanych 309.144 członków poniżej 21 lat oraz 38.186 poniżej 14 lat. Naturalnie że ci ostatni nie są piłkarzami o pełnem tego słowa znaczeniu — lecz młodzieżą, uprawiającą z wszelką pewnością inne gry ruchowe. Widocznie niemieckie kluby sportowe dają gwarancję, że młodzież ta znajdzie w ich łonie należytą opiekę.

□

W podtytule mego pierwszego artykułu w poprzednim numerze „7 Dni" obdarzono mnie niezasłużenie bez mej wiedzy tytułem „kierownika polskiej grupy lekkoatletycznej na Olimpjadzie w Amsterdamie", którym był p. J. Wiśniewski.

M. KURLETO.

SAMOCHODY

Peugeot ⁵/₁₂ HP.

rozwiązały zagadnienie taniej komunikacji,

b o

samochód „Peugeot"

ELASTYCZNY
WYTRZYMAŁY
DOSKONALE RESOROWANY
ELEGANCKO WYKOŃCZONY.

jest
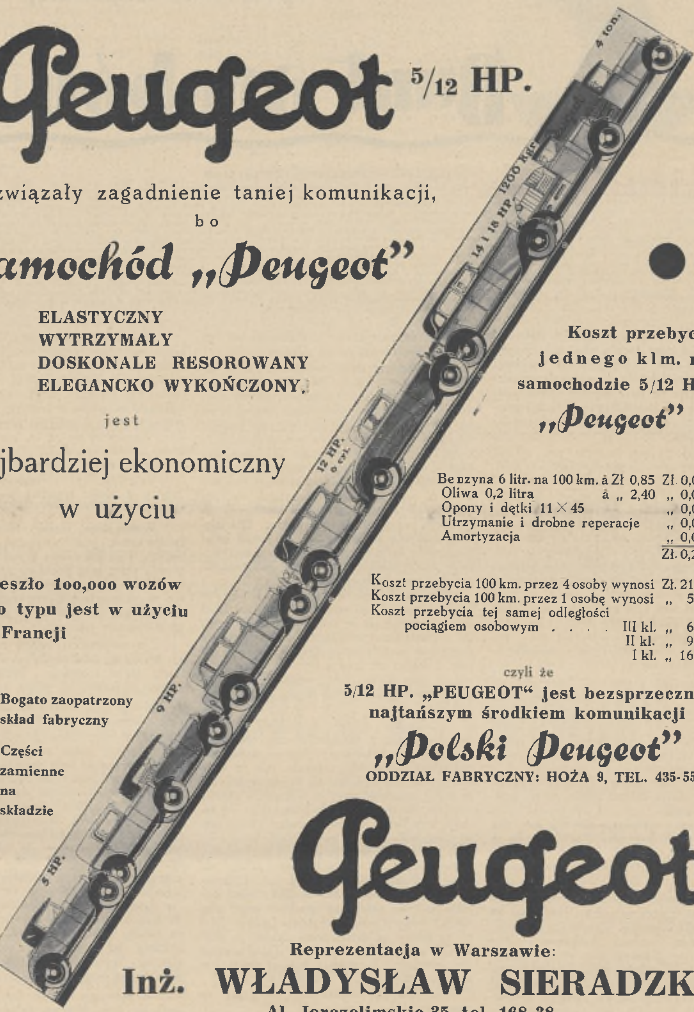
najbardziej ekonomiczny

w użyciu

Przeszło 100,000 wozów tego typu jest w użyciu we Francji

Bogato zaopatrzony skład fabryczny

Części zamienne na składzie



Koszt przebycia jednego klm. na samochodzie 5/12 HP.

„Peugeot"

Benzyna 6 litr. na 100 km.	à Zł 0,85	Zł.	0,051
Oliwa 0,2 litra	à „ 2,40	„	0,005
Opony i dętki 11 × 45		„	0,034
Utrzymanie i drobne reperacje		„	0,050
Amortyzacja		„	0,070
		Zł.	0,21

Koszt przebycia 100 km. przez 4 osoby wynosi	Zł.	21.—
Koszt przebycia 100 km. przez 1 osobę wynosi	„	5.50
Koszt przebycia tej samej odległości pociągiem osobowym . . . . III kl.	„	6.60
II kl.	„	9 90
I kl.	„	16.50

czyli że

5/12 HP. „PEUGEOT" jest bezsprzecznie najtańszym środkiem komunikacji

„Polski Peugeot"

ODDZIAŁ FABRYCZNY: HOŻA 9, TEL. 435-55

Peugeot

Reprezentacja w Warszawie:

Inż. WŁADYSŁAW SIERADZKI

Al. Jerozolimskie 35, tel. 168-38

REPREZENTACJE W 14-tu MIASTACH POLSKI



T. E. Lawrence
b. pułk. armji angielskiej

Bunt arabów

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Pułkownik armji angielskiej T. E. Lawrence udaje się w r. 1916 do Małej Azji, celem stworzenia na tyłach armji tureckiej dywersji zbrojnej ze strony plemion arabskich. W poszukiwaniu przywódcy tego ruchu, któryby zdołał posiąść autorytet „Proroka" udaje się do obozu słynnego wodza Fajsala. Pułk. Lawrence zapoznaje się z Fajsalem, bada warunki, któreby mu dały możność rozwinięcia akcji dywersyjnej i opisuje szczegóły życia obozowego powstańców. W dalszym ciągu opowiadania Czytelnik zapoznaje się z wodzami arabskimi, którzy chętnie uznają autorytet Fajsala, jedynego w ich oczach człowieka, któryby mógł prowadzić zwycięską wojnę o oswobodzenie kraju. Damaszek jest głównym celem kampanji. Siły arabskie wyruszają na Akabę i odrazu przystępują do akcji bojowej. Pierwsze starcie z nieprzyjacielem przynosi Arabom zwycięstwo. Wkrótce lądują w zatoce Akaby główne siły powstańców wespół z eskadrą lotników angielskich, która niezwłocznie rozpoczyna dalekodystansowe raidy powietrzne w kierunku nieprzyjaciela, wzbudzając szalony popłoch. Pragnąc przerwać komunikację kolejową i sparaliżować ewentualne manewry sił nieprzyjacielskich, Lawrence organizuje wyprawę, mającą na celu zniszczenie toru i wysadzenie dla postrachu pociągu z tureckiemi posiłkami. Znękany nieprzyjaciel wyznacza cenę za głowę Lawrence'a, słusznie uważając go za głównego sprawcę ostatnich klęsk. Lawrence postanawia zażądać nowych posiłków i udaje się w tym celu do angielskiego sztabu. Uzyskuje tam niesłychanie ważną rzecz, rozstrzygającą losy przyszłej kampanji — 2000 wielbłądów. Wiadomość o tem napełnia powstańców niesłychaną radością. Niepomyślnym zwrotem w dalszych wypadkach okazuje się natomiast decyzja króla Husseina, odnośnie jednego z wodzów arabskich, która wywołuje masową dymisję wszystkich innych. Protesty Fajsala podrażniają króla do tego stopnia, że publicznie piętnuje go, jako zdrajcę. Jedynie Allenby może wpłynąć na króla i przełamać jego upór. Kompromisowy telegram króla, odpowiednio przerobiony przez Lawrence'a uspokoił umysły. Wojska wyruszają. Pierwszym czynem, dokonanym przez powstańców było zniszczenie torów kolejowych. (13)

Usłyszeliśmy warczenie motorów. Powracał Junor, jeszcze żywy i cały, choć eskortowany z trzech stron przez opluwające go pociskami maszyny nieprzyjacielskie. Lawirował wspaniale, ostrzeliwując się im z odwagą i determinacją. Sama ich liczba stanowiła dla nich przeszkodę, ale naturalnie wynik tej nierównej walki mógł być jeden.

W słabej nadziei, że może uda mu się szczęśliwie wylądować popędziliśmy ku kolei, gdzie widniał skrawek względnie wolnego od kamieni terenu. Wszyscy zabrali się pośpiesznie do oczyszczania go z większych odłamów skalnych, a tymczasem Junor, napierany przez powietrznych myśliwych, opuszczał się coraz niżej. Dał nam znak, że wyczerpała mu się benzyna. Po pięciu minutach gorączkowej pracy, wskazaliśmy mu zapomocą sygnału, miejsce lądowania. Spróbował opuścić się i w tejże chwili uderzył weń ostry podmuch wiatru. Wyrównany kawałek był bądź co bądź za mały. Wylądował jednak wspaniale, ale znów powiał silniejszy wiatr, podwozie wywróciło się i płatowiec fiknął kozła.

Pośpieszyliśmy z pomocą. Junor stał już na ziemi cały i zdrowy, z wyjątkiem skaleczenia na brodzie. Wyjął swego Lewisa, Vickersa i amunicję. Władowaliśmy wszystko na Forda Younga i uciekliśmy pośpiesznie. Prawie jednocześnie jeden z tureckich samolotów rzucił bombę tuż około aparatu.

W pięć minut później Junor zażądał nowej roboty. Joyce dał mu Forda, on zaś pojechał śmiało wzdłuż linji pod sam prawie Derat i wysadził tam w powietrze kawałek toru, nim go Turcy zdołali dostrzec. Znajdując, że za wiele było tej gorliwości, zaczęli doń walić z armat, ale i tym razem umknął swoim Fordem szczęśliwie.

Moja gwardja czekała w dwóch długich szeregach, na zboczu wzgórza. Joyce stał na Tell Arar, dla osłonięcia odwrotu, ze stu ludźmi Nuri Saida, Ruallami, Gurkasami i samochodami, a my przemykaliśmy się na przełaj w kierunku kolei palestyńskiej. Ponieważ mój oddział wyglądał jak gromada Beduinów, zdecydowałem się przeto pędzić otwarcie najkrótszą drogą do Mezerib, gdyż i tak spóźniliśmy się znacznie. Na nieszczęście nieprzyjaciel zwrócił na nas uwagę i podleciawszy bliżej, zaczął rzucać bomby; trzy chybiły, czwarta padła w sam środek naszej gromady. Dwaj ludzie spadli na ziemię, a ich wielbłądy utworzyły drgającą, krwawą masę. Nie odnieśli jednak żadnych obrażeń i ulokowali się na siodłach towarzyszy, za ich plecami.

Pojechaliśmy dalej swobodnie, znając teren na wylot. Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się, by zakomunikować spotykanym młodym wieśniakom, że ognisko akcji przesunęło się do Mezerib. Ścieżki polne roiły się bowiem od ochotników, śpieszących nam z pomocą ze wszystkich wiosek i miasteczek. Byli oni pełni zapału, ale na nas, przyzwyczajonych do brunatnej chudości ludzi pustyni, ci weseli, wiejscy chłopcy, z zarumienionemi twarzami, obfitemi czuprynami i pulchnemi nieopalonemi rękami i nogami, robili wrażenie dziewczyn. Dla większej swobody ruchów, podkasali ponad kolanami swoje luźne ubrania i niektórzy, energiczniejsi pędzili obok nas przez pola, przekomarzając się z mymi żołnierzami.

Po przybyciu do Mezerib, Durż ibn Dughmi powitał nas nowiną, że oddział Nuri Saida znajduje się w odległości tylko dwóch mil. Napoiliśmy wielbłądy i sami ugasiliśmy gruntownie pragnienie, bo dzień był długi i gorący, i daleko mu jeszcze było do końca. Potem, z poza starego fortu, wyjrzeliśmy na jezioro i zauważyliśmy ruch na stacji kolei francuskiej.

Białonodzy chłopcy powiedzieli nam, że jej turecka obsada jest bardzo silna. Jednakowoż teren zbyt był kuszący, żeby nie zrobić próby. Atak poprowadził Abdulla, jako że moje awaturnicze dni skończyły się leniwą wymówką, iż muszę zachować skórę na ważniejszą okazję, a zresztą chciałem wejść do Damaszku. To zadanie było łatwe. Abdulla znalazł zboże, mąkę i niewielkie łupy w postaci koni, broni i innych rzeczy. Podnieciło to moich chłopców. Zlecieli się nowi ochotnicy, niby muchy do miodu. Nadjechał galopem Tallal. Przeprawiwszy się przez strumień, brnęliśmy przez wysokie do kolan zielska, aż ujrzeliśmy przed sobą stację turecką w odległości trzystu jardów. Mogliśmy zdobyć ją jeszcze przed atakiem na wielki most poniżej Tell el Szehab. Tallal posunął się niebacznie. Z prawej i z lewej strony ukazali się Turcy.

— Wszystko w porządku — rzekł — znam naczelnika stacji.

Kiedy wszakże znaleźliśmy się w odległości dwustu jardów, z dwudziestu karabinów gruchnęła w nas wstrząsająca salwa. Upadliśmy nietknięci między zielska (prawie same osty) i poczołgaliśmy się ostrożnie zpowrotem. Tallal klął jak wściekły.

Moi ludzie, usłyszawszy strzelaninę, nadbiegli od strony rzeki, ale zawróciłem ich z obawy, że załoga stacji może mieć karabin maszynowy. Nadciągał Nuri Said. Po przybyciu jego i Nazira, złożyliśmy naradę. Nuri wykazał, że zwłoka w Mezerib może nas przyprawić o stratę ważniejszej rzeczy, to jest mostu. Zgodziłem się na to, ale byłem zdania, że ten „wróbel w garści", mógł nam wystarczyć ze względu na to, że naprawianie linji, zdemolowanej przez Peake'a, przeciągnie się do tygodnia, a koniec tygodnia przyniesie zmianę sytuacji.

Wobec tego Pisani otworzył ogień ze swoich armat i posłał na oporną stację kilka pocisków. Pod ich osłoną i pod dachem, utworzonym przez grad pocisków naszych dwudziestu karabinów maszynowych, Nuri pomaszerował w rękawiczkach i przy szabli, aby wezwać do poddania się czterdziestu pozostałych przy życiu żołnierzy tureckich.

Na nadzwyczaj bogato zaopatrzoną stację rzuciły się setki oszalałych chłopów haurańskich, łupiąc i grabiąc. Mężczyźni, kobiety i dzieci walczyły, jak psy, o każdy przedmiot.

Young i ja poprzecinaliśmy linje telegraficzne, stanowiące tutaj ważną sieć głównych i bocznych linij, w samej rzeczy najważniejszy węzeł, łączący armję palestyńską z jej obczyzną. Przyjemnie było wyobrazić sobie nowe przekleństwa Limana on Sandarsa w Nazarecie za każdym zerwanym drutem. Czyniliśmy to powoli, z wielkiemi ceremonjami, dla przedłużenia jego pasji. Beznadziejny brak inicjatywy ze strony Turków pozwalał nam kierować biegiem akcji; niszcząc zaś ich linje telegraficzne posuwaliśmy się daleko na drodze zamienienia ich armji w bezładną bandę. Po telegrafie przyszła kolej na zwrotnice, poczem w dalszym ciągu zakładaliśmy „tulipany". W trakcie naszej roboty przyjechała z Deratu na zwiady lekka lokomotywa. Huk i chmury kurzawy od naszych „tulipanów" zbiły ją z tropu. Wycofała się dyskretnie. Później nawiedził nas aeroplan.

W zabranym taborze kolejowym znajdowały się dwie drezyny, naładowane przysmakami dla jakiejś niemieckiej kantyny. Arabowie, niedowierzając puszkom i butelkom, zniszczyli prawie wszystko, ale dostało się nam jeszcze trochę zup i mięsa, a później Nuri Said dał nam szparagów w konserwie. On to zobaczył Araba, otwierającego skrzynkę i kiedy

ukazała się jej zawartość, krzyknął doń z przerażeniem:

— Świńskie kości!

Chłop splunął i porzucił zdobycz, a Nuri władował pośpiesznie cenną żywność w swoje torby przy siodle.

Na platformach pociągu znajdowały się olbrzymie rezerwoary benzyny; oprócz tego kilka platform było wyładowanych drzewem opałowem. O zachodzie słońca, kiedy skończył się rabunek i wojska regularne, oraz plemiona wycofały się na miękką trawę, koło jeziora, rozpaliliśmy wielkie ognisko.

Wspaniała jasność, rozszerzając się wzdłuż linji wagonów, oświetliła nasz wieczorny posiłek. Drzewo paliło się jaskrawym płomieniem, a ogniste języki i wybuchy benzyny wzbijały się wyżej niż cysterny z wodą. Pozwoliliśmy ludziom trochę wypocząć, upiec chleba i zjeść wieczerzę przed nocnym atakiem na most Szehab, leżący trzy mile na zachód. Zamierzaliśmy uczynić to o zmroku, ale powstrzymał nas głód, a potem roje gości, zwabionych z połowy chyba Hauranu przez blask naszego ogromnego ogniska.

Byli to ważni goście i trzeba ich było przyjąć należycie. Moja rola polegała na rozmówieniu się ze wszystkiemi, przynoszącymi nowiny, na wysłuchaniu wszystkiego, co mieli do powiedzenia, a następnie na zestawieniu i powiązaniu prawdy poszczególnych opowieści w jeden, całkowity obraz sytuacji. Całkowity, ponieważ dawał mi pewność sądu, ale ani świadomy, ani logiczny, gdyż miałem tak wielu informatorów, że traciłem poprostu głowę i mój samotny umysł uginał się pod nadmiernym ciężarem.

Przybywali z północy ludzie konno, na wielbłądach i pieszo całemi setkami, uniesieni straszliwym, ogromnym entuzjazmem i przekonani, że kraj został przez nas już na dobre opanowany i że Nazir przypieczętuje zwycięstwo, biorąc w nocy Derat. Zjechały nawet władze municypalne Deratu, oddając am miasto. Pójście im na rękę — oznaczałoby owładnięcie stacyjnemi źródłami wody. Stacja poddałaby się bezwątpienia. Jednakże później, gdyby rozprzężenie armji tureckiej wolno się posuwało, moglibyśmy zostać z niej wyparci i stracić mieszkańców nizin między Deratem a Damaszkiem, w których rękach leżało nasze ostateczne zwycięstwo. Drobiazgowe wyrachowanie nie bardzo podnosi na duchu, ale, ogólnie biorąc, wszystko przemawiało za wzięciem Deratu. Raz jeszcze musieliśmy odprawić naszych przyjaciół usprawiedliwieniami, przewyższającemi ich inteligencję.

Następnego dnia zerwaliśmy w dwóch miejscach kolej garnizonu z Afulu było dla Allencie tutaj garnizonu z Afulu było dla Allenby'ego trzecią korzyścią. Zobowiązanie nasze wobec niego wypełniliśmy zaiste honorowo.

ŚMIERĆ TALLALA.

Nad ranem Arabowie powiadomili nas, że kolumna turecka — pułk ułanów Dżemala paszy — wchodzi właśnie do Tafas. Podjechawszy bliżej, stwierdziliśmy, że zajęli oni wioskę (z której rozbrzmiewały pojedyńcze wystrzały) i otoczyli ją wokoło. Z pomiędzy domów wzbijały się wąskie słupy dymu. Na pagórku, od naszej strony, stała ocalała gromadka starców, kobiet i dzieci, po kolana w ostach i opowiadała straszne rzeczy o tem, co się działo, kiedy godzinę temu wpadli do nich Turcy.

Czekaliśmy, wypatrując odpowiedniej chwili działania. Po pewnym czasie, z miejsca zbiórki za domami wysunęła się kolumna nieprzyjacielska i, w składnym szyku skierowała się na Miskin. W przedniej i tylnej straży jechali ułani, karabiny maszynowe na skrzydłach za piechotą, w centrum zaś szły armaty i transporty. Zaledwie czoło kolumny wyłoniło się poza osłonę domów, otworzyliśmy na nie ogień, a oni w odpowiedzi wycelowali na nas dwa działa polowe. Szrapnel, jak zwykle był nastawiony na większą odległość i przeleciał nad naszemi głowami.

Nadciągnął Nuri z Pisanim. Przed nimi jechał Auda abu Tayi, pełen napiętego wyczekiwania i szeik Tallal, napół oszalały z powodu wieści o cierpieniach ludu z jego wioski. Właśnie opuszczały ją ostatnie tureckie szeregi. Prześlizgnęliśmy się za nimi, by skrócić straszną niepewność Tallala, podczas gdy nasza piechota zajęła pozycje i otworzyła silny ogień z Hotchkissów, Pisani wsunął się między nie ze swoją półbaterją i rzucił popłoch w szeregi straży tylnej.

Podjeżdżaliśmy ostrożnie do wioski, która leżała cicha i spokojna, pod osłoną białych, wolno wijących się dymów. Między wysoką trawą kryły się jakieś szare kupki, zaścielając ziemię szczelną warstwą trupów. Odwróciliśmy oczy, wiedząc, że już ich nie wydrzemy śmierci, kiedy od jednej z nich oderwała się malutka postać i jęła uciekać chwiejnemi krokami, jakgdyby przed nami. Była to trzy, czy czteroletnia dziewczynka, której brudna koszulka czerwieniła się na boku i ramieniu krwią, spływającą z wielkiej rany, zadanej prawdopodobnie lancą, tuż przy szyjce.

Dziewczynka pobiegła kilka kroków, poczem stanęła i zawołała do nas zdumiewająco silnym głosikiem (panowało zupełne milczenie):

— Nie bij mnie, Baba.

(C. d. n.).

Jedyne w Polsce czasopismo, wydawane na wzór najpiękniejszych czasopism zagranicznych

„TEATR I ŻYCIE WYTWORNE"

NAJCIEKAWSZE ARTYKUŁY
NAJPIĘKNIEJSZE ILUSTRACJE

UKAZAŁ SIĘ Nr. 3 I JEST WSZĘDZIE DO NABYCIA

Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowosenatorska 2, Tel. 525-85

„Jupes Culottes"

Nie śmiałabym twierdzić z zupełną pewnością, czy to w roku 1910 czy też w 1911 wypuścił mistrz Poiret po raz pierwszy w świat swą nader śmiałą kreację: „Jupes Culottes". Zbyt śmiałą, jak na owe czasy, w których suknia wieczorowa miała sążnisty tren, suknia spacerowa kończyła się o centymetr nad ziemią, a suknia sportowa sięgała kostek, co zdaniem wielu zacnych matron było bardzo wyzywające i wysoce nieprzyzwoite.

To też pierwsze pionierki ryzykownej mody prawdopodobnie Bogu ducha winne manekiny domów krawieckich ukazujące się na wyścigach w Longchamps w modnych kąpieliskach i na ruchliwych arterjach stolic europejskich, spotykano gradem żarcików niekoniecznie wytwornych, nieraz całkiem ordynarnych wyzwisk, gwizdem, a nawet... kamieniami. Panowie czuli się dotknięci w swej męskiej dumie, panie w swej niewieściej skromności. Moda „jupes culottes'ów" nie przyjęła się nigdzie, znajdując echo jedynie w wesołych piosenkach ówczesnych kabaretów i w dowcipach feljotonistów.

Przed paru laty, przeglądając zakurzone roczniki jakiegoś pisma ilustrowanego, natrafiłam na wyblakłą odbitkę fotografję pani Marji Dulęby w „jupes culottes'ach". Pod fotografją był umieszczony wywiad, w którym artystka zaznaczała, iż uważa „jupes culottes" za odpowiednie jedynie na sceny do ról ekscentrycznych, ale w życiu prywatnem uważałaby je za strój conajmniej niewłaściwy.

Patrząc na tę długą suknię, ukazującą przez wąski i krótki pasek odrobinę szerokich jedwabnych szarawarków — pokolenie powojenne nie może zrozumieć, jak jego rodzice potrafili w tym długim i zapiętym kostjumie dopatrzeć czegoś nieprzyzwoitego.

Tempora mutantur. Pamiętam jak już w trzecim roku wojny, pewna młoda panna



Oryginalny model jupe-culottes, ostatnia kreacja jednego z paryskich salonów mody.

zwierzywszy się swojej matce iż chciałaby mieć pyjamę, usłyszała w odpowiedzi: — Jesteś cyniczna. — A dziś, mój Boże, wygodna pyjama zastąpiła na całej linji pretensjonalny, wlokący się po ziemi i zahaczający o wszystko skrzydlatemi rękawami, tea gown, i stała się zjawiskiem tak pospolitem, że niestety nie można nią zgorszyć nawet starej ciotki, przybyłej w niewczesne odwiedziny.

Jeszcze bardziej niż moda pyjamy, do widoku kobiety w spodniach przyzwyczaiło świat coraz większe zainteresowanie sportem. Nie wiem, czy najbardziej zacofany reakcjonista potrafiłby się zgorszyć niedostatecznością stroju, w którym Konopacka odniosła swe wspaniałe zwycięstwo olimpijskie. Nikogo również nie gorszyły breeches'y dzielnej amazonki panny Dorange, choć w nich paradowała po warszawskich dancingach, ani granatowe spodenki narciarskie, w jakich sympatyczna Brońcia Staszel-Polankówna ugania po Zakopanem. Każdy też chyba rozumie, że kobieta prowadząca samochód, o ile ma się zabrać do własnoręcznej naprawy, musi włożyć męskie combinaisons, zarówno ze względu na wygodę jak i na przyzwoitość.

W takich to konjunkturach Paryż znowu próbuje lansować ostatni model wiosenny 1929: — „jupes culottes" jako strój spacerowy. Czy się przyjmie? Któż to może przewidzieć! Największym nowego modelu atutem jest bezwzględna swoboda ruchów, tak cenna dla kobiety współczesnej. Może jednak zwolenniczkom spokojnej dystynkcji w ubraniu wyda się zbyt ekscentrycznym, trop osé. Jednego możemy być chyba pewni, że pierwsze z pań, które się zdecydują na włożenie modnych kreacyj spodenkowych, nie będą narażone na podobne ekscesy ze strony ulicznej gawiedzi, jakie spotkały ich matki i ciotki przed kilkunastu laty.

Well.

Rozrywki umysłowe

LOGOGRYF

ułożyła Ali Czerwińska.

a, a, a, ar, a, an, an, ar, ba, de, dio, ca, e, fik, fisz, ga, has, ja, ka, kry, lit, log, me, me, mi, mi, musz, na, nat, ner, ni, ny, o, ro, tra, tos, wa, wer, żer.

Z podanych sylab ułożyć 14 wyrazów, których środkowe litery, czytane zgóry ku dołowi, utworzą imię i nazwisko wielkiego pisarza.

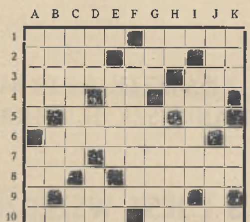
ZNACZENIE WYRAZÓW.

1. Opera włoska.
2. Korona książęca.
3. Bogini mądrości.
4. Inaczej pasaż (w muzyce).
5. Dziesięcioro przykazań.
6. Powiat węgierski.
7. Zakład ze zwierzętami.
8. Litera grecka.
9. Inaczej brednie.
10. Kamień meteoryczny.
11. Odwaga, zapał.
12. Żyd wieczny tułacz.
13. Klamry do spajania.
14. Publiczne ogłoszenie.

KRZYŻÓWKA MAGICZNA.

ułożył Z. Leway, Brody.

W krzyżówce magicznej wszystkie wyrazy czytają się w kierunku poziomym i pionowym. Cyfra z literą wskazuje kratkę, w której zaczyna się słowo poziome. Litera z cyfrą wskazuje kratkę, w której zaczyna się słowo pionowe.



ZNACZENIE WYRAZÓW.

1a—a1. Część kondensatora radjowego.
1g—a7. Ujście rzeki.
2a—b1. Zwierzę.
2f—b6. Poeta polski.
2j—b10. Bożek.
3a—c1. Bęben.
3j—c9. Urzędnik francuski.
4a—d1. Utwór literacki.
4e—d5. Miara powierzchni.
4h—d8. Ryba.
5c—e3. Tytuł.
5i—e9. Zaimek łaciński.
6b—f2. Okręt.
7a—g1. Tytuł hiszpański.
7e—g5. Członek narodu europejskiego.
8a—h1. Spółgłoska.
8f—h6. Imię żeńskie.
9c—i3. Zakład naukowy (wspak).
10a—j1. Obawa.
10g—j7. Wakacje (wspak).
11a—k1. Rzeka w Europie.
11f—k6. Inaczej chociaż (wspak).
11j—k10. Litera grecka.

NAGRODY!

Wśród Czytelników, którzy nadeślą dobre rozwiązania krzyżówki magicznej i logogryfu, zostaną rozlosowane nagrody w postaci 5 książek beletrystycznych. Rozwiązania prosimy nadsyłać pod nowym adresem. Redakcja „7 Dni" — „Dział Rozrywek Umysłowych" — Nowosenatorska 2 — Warszawa.

Termin nadsyłania rozwiązań: do dnia 29 kwietnia. W wypadkach wątpliwych decyduje stempel pocztowy.

„Imperatory" puszczy Białowieskiej



Żubry — „puszcz imperatory", okazalej może prezentowały się na tle największego ogrodu zoologicznego na świecie, w Hamburgu, niźli w skromnem naszem „Zoo" w Warszawie. Bliżej im tu jednak do kniei białowieskiej, do borów, skąd ród swój wywodzą i dla których nowe będą tworzyć plemię *(Fot. Sitkowski)*

Dawne to były czasy, kiedy puszcza białowieska roiła się od wszelakiego zwierza, popłoch czyniącego wśród ludzi, co się odważyli naruszyć majestat leśny, skracając sobie tędy drogę. I nieraz się zdawało, że nawet zbrojna kupa pierzchała na widok rozjuszonego stada turów i żubrów, któremu przerwała sielankowy żywot na leśnej polanie.

Roiło się w puszczy od takiego mnóstwa zwierza, że zapobiegliwi wodzowie czynili tu nawet zapasy żywności na wyprawy wojenne. Spędzano wówczas tysiące okolicznych kmieci, zaciągano sieci po bokach puszczy, skąd zaczajeni borowi dawali rozkazy „nawrotnikom", by z największym hałasem napędzali zwierza na myśliwych, oczekujących z orężem na stanowiskach. Niesłychane działy się jatki — a zwierza jakgdyby nie ubywało!

Nieraz znów zjeżdżały dwory królewskie do ostępów puszczańskich gwoli uciechy myśliwskiej. Mięso żubra — wyborne w smaku — posyłano, jako oznakę szczególnej łaski uczonym profesorom Akademji Krakowskiej.

Na wieczną owych świetnych czasów pamiątkę pozostawiono nawet w puszczy pomnik, na którym wyryte są nazwiska uczestników jednego z najwspanialszych polowań odbytego za Augusta III. Zabito wówczas — jak twierdzi jeden z pierwszych monografistów Białowieży, Brineken — 42 żubry, oprócz mnóstwa innej zwierzyny, a największy z nich ważył półtora tysiąca funtów polskich.

Pierwszy pochop do ochrony zwierzostanu białowieskiego dało panowanie Prusaków za Księstwa Warszaswkiego, kiedy kłusownicy, za nic nie mając wszelkie zakazy i ograniczenia, poczęli bezlitośnie tępić grubego zwierza, a zwłaszcza cenionego dla smaku mięsa żubra.

W roku 1812, kiedy niezliczone hufce cesarzowe tędy ciągnęły na Moskwę — wiarusy, co nigdy nie widziały tak mocarnego zwierza, jak żubr, z niemałą ochotą nań polowali, pozostawiając łup na miejscu. Ot tak poprostu — dla zabawy! Kule świstały w kniei, gdyby na polu bitwy, wzniecając straszny popłoch wśród zdumionej zwierzyny.

Lecz co to? Inny zawrzał bój w puszczańskich ostępach:

...Żubr, brodacz sędziwy,
Zadrżał we mchu, najeżył długich włosów grzywy,
Wstaje nawpół, na przednich nogach się opiera,
I, potrząsając brodą, zdziwiony spoziera,
Na błyskające nagle między łomem zgliszcze.
Był to zbłąkany granat; kręci się, wre, świszcze,
Pękł z hukiem, jakby piorun; żubr pierwszy raz w życiu,
Zląkł się i uciekł, w głębszem schować się ukryciu...

Pierwsze groźne „memento", pierwsze czarne chmury nad niezawisłym żywiołem w niedostępnem królestwie leśnem...

Prawda, że nastąpiły wnet inne czasy, kiedy dla łowów monarchów zaborczych roztoczono czujną ochronę nad zwierzostanem puszczy. Żubr zwłaszcza, słusznie uważany za jeden z najrzadszych okazów puszczy europejskiej, stał się przedmiotem szczególnej opieki straży leśnej, która mocą ukazu carskiego nakładała straszną karę na kłusownika, co się odważył zabić zwierza. Aż strach pomyśleć: 700 rubli grzywny i 10 lat turmy

Czego nie czyniono dla żubrów! Tępiono drapieżniki, osuszano bagniska, celem przysporzenia faworytom najlepszej paszy — i mimo, że od czasu do czasu podczas wielkich łowów, padało po kilkadziesiąt sztuk żubrów, ilość ich wzrastała z każdym niemal rokiem. Aż wreszcie przyroda sama, widząc ten dziwny dobrobyt, poczęła się mścić na rodzaju żubrzym, siejąc zarazę, od której nie mało wyginęło sztuk.

Było to na parę lat przed wojną światową. I jak przed wiekiem — znów rozległy się w puszczy groźne echa strzałów. To nawała zbrojnych hufców germańskich jechała na karkach ustępujących Moskali.

Zdumiony zwierz zaszył się w gąszcze leśne..

Lecz i tu nie zaznał spokoju. Niemieckie władze wydały wprawdzie surowy zakaz polowania na żubry, wyjątek jeno czyniąc dla wysokich dostojników, którzy poza przewagami wojennemi lubili zapisać do swych trofeów łupy myśliwskie (i nie myśliwskie).

Trzy lata tej okupacji poważnie dały się we znaki królom białowieskiej puszczy. Zwierzostan kurczył się coraz bardziej aż wreszcie nastąpiły jeszcze groźniejsze chwile — panowania moskiewskiej tłuszczy rewolucyjnej. Zniesiono wszelkie prawa i przepisy. Polowanie zostało nawet usankcjonowane przez władze bolszewickie w imię dobra publicznego, dla ratowania ludności od głodu.

Kiedy wreszcie udało się nam wyprzeć wroga, okazało się, że parę sztuk żubrów błąka się jeszcze po puszczy, aż wreszcie i po nich zginął wszelki ślad.

Żubry tak ściśle związane z tą tradycją puszczy, stanowią tak rzadki okaz fauny europejskiej, iż kiedy postanowiono założyć w części kniei, najbardziej oddalonej od terenów eksploatacyjnych „parku narodowego", niepodobna było nie pomyśleć o sprowadzeniu kilku żubrów, któreby znowu zapoczątkowały rozwój tej rasy.

Odmownie potraktowano propozycje nasze w zarządzie lasów pszczyńskch i na Węgrzech, jedynych miejscowościach, w których pozostało po kilka sztuk zwierza, pochodzącego zresztą z puszczy białowieskiej.

Udało się nam wreszcie dostać kilka żubrów u właściciela znanego ogrodu zoologicznego w Hamburgu, Hagenbecka.

Sprowadzono je przed paroma tygodniami do Warszawy. „Puszcz imperatory" niezbyt może majestatycznie wyglądają w skromnym naszym ogrodzie zoologicznym na Pradze — bliżej im tu jednak do puszczy, niźli w dalekim Hamburgu...

Er.

HUMOR



— Mamusiu! ja też chcę mieć brodę, jak tamten chłopczyk!...



— Chciałbym wygrać tę figurkę, co to wygląda jakby leżała koło alabastru.

— Przepraszam pana, młody człowieku, bo to bogini i z nikim nigdy nie leżała.



— ...połknąłem spinkę od kołnierzyka!!!

— No to przynajmniej nie potrzeba już jej szukać, jak co rano.

Roskosze Luna-Parku





(Fot. Metro-Jalfilm).

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie

Prenumerata kwartalna: 6.50 złotych, półroczna 12.50 złotych wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowosenatorska 2. Tel. 525-85 Konto P. K. O. 19.447.

Cena ogłoszeń: zł. 1000 za 1 stronę, zł. 500 za 1/2 strony, zł. 250 za 1/4 strony. W razie podwyższenia nakładu ceny proporcjonalnie wyższe: za podstawę obliczenia służy stawka złotych około 40 za jeden tysiąc nakładu. Drobne: za wiersz 1 mm (3 szpaltowy) zł. 1 gr. 20.

Redaktor naczelny: JAN PIOTROWSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

Klisze i druk wykonano w Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Telef.: 172-06 i 117-90.